

KAMENIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Dla kultury • Historia pewnego oczarowania • Uniwersytety na co dzień • Poeta - brat poety • Wojna, ludzie i medycyna • Poeta przypomnienia godny • III konkurs „Kamień” • I in.

Władza i działalność

JERZY DOSTATNI

SYLWESTRA na przełomie lat 1943-44 miałem spędzić na warszawskim Żoliborzu, w dzielnicy, z którą szczególnie silnie związały mnie najpierw wypadki wojennego września, a potem nauka konspiracyjnego abecadła. Podróż kolejką elektryczną z Anina odbyła się bez przeszkód. Ale już na ul. Miodowej do tramwaju dotarli niemiłe wieści, że na Żoliborzu kręci się niepokojąco duża liczba Niemców. Gdzieś koło Franciszkańskiej wyskoczyłem z wozu razem z innymi. Ryzyko ponownego znalezienia się na słynnej Alei Szucha było zbyt duże.

Dopiero wiele lat później dowiedziałem się z opublikowanych dokumentów, że tej właśnie nocy w Warszawie przy ul. Twardej 22 odbywało się pierwsze posiedzenie Krajowej Rady Narodowej. Organizatorzy zebrania, celem zwiększenia bezpieczeństwa, rzekomo konfidencjonalnymi kanałami pozwolili się zdekonspirować — z tym, że jako miejsce zebrania podano „gdzieś na Żoliborzu”. Niemcy dali się nabrać, a i z mojego Sylwestra — chyba na szczęście — też nic nie wyszło.

Dokładnie 49 dni później w Rudce Kijańskiej pod Lubartowem odbyło się pierwsze posiedzenie pierwszej w okupowanym jeszcze kraju rady terenowej — Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej. „Zebrani... postanawiają — czytamy w uchwalonej wówczas deklaracji do społeczeństwa Lubelszczyzny — wszystkie swe siły wyczerpać w celu zjednoczenia społeczeństwa Lubelszczyzny do walki z barbarzyńskim najeźdźcą niemieckim... wzywają wszystkie warstwy i ugrupowania społeczne i polityczne do podjęcia wspólnej walki aż do ostatecznego zwycięstwa”. W ciągu następnych 17 dni powstało w naszym województwie 5 powiatowych i kilkanaście gminnych rad narodowych.

TAK oto w olbrzymim i tylko kalendaryzowym skrócie rodziła się władza ludowa. Mijały lata, zmieniała się sytuacja, zmieniały się zadania rad narodowych. Dziś znowu stolimy na progę nowego okresu, który zapoczątkowany został uchwałami VIII Plenum KC PZPR w dniach 26-27 czerwca br.

Na ogół zbyt często i niepotrzebnie używamy sformułowania „nowy okres”. Tym razem jednak nie jest ono wcale frazesem. Tzw. decentralizacja władzy zapoczątkowana została jeszcze w r. 1955, chociaż odpowiedni akt prawny, ustawa o radach narodowych, ukazał się dopiero trzy lata później. Pierwszy okres tej decentralizacji właśnie się skończył. Istota jego polegała na tym, że władze centralne zrezygnowały z wielu swoich uprawnień, gospodarczych i administracyjnych, na rzecz wojewódzkich rad narodowych. Na ogół jednak na tym szczeblu zatrzymała się w całym kraju decentralizacja. Nasze województwo uczyniło w tej sprawie kilka chwalebnych wyjątków, jak np. eksperymenty chełmski i lubartowski, ale mimo wszystko były to w określonym układzie prawnym-organizacyjnym mogły być tylko — wy-

jątki. Pozytywne wyniki tych właśnie naszych wyjątków były m.in. argumentami, które niewątpliwie przechyliły szalę na rzecz następnego, drugiego okresu decentralizacji: przesunięcia ciężaru zarządzania do powiatowych rad narodowych.

Właśnie — zarządzania, działalności, a nie władzy. Przez wiele lat mówiliśmy, że rady terenowe są ogniwami władzy. Jakiśkolwiek byłyby prawa, ustawy czy przepisy, w odczuciu przeciętnego obywatela, niezbyt biegłego w prawnych pojęciach, słowo „władza” kojarzyło się z pojęciem praw, które przysługują władzy, oraz obowiązków, które musi wypełniać obywatel. W praktyce ten zespół praw i obowiązków okazywał się często dość jednostronny, ze znakomitą przewagą praw. Napelniało to wprawdzie obywatela uczuciem respektu wobec „władzy”, ale zarazem w wielu wypadkach oddalało ją od obywatela, pozbawiało akcentów osobistego współzycia. Ten nienormalny stosunek kosztował jeszcze bardziej wobec faktu, że niemal każda decyzja o charakterze finansowo-gospodarczym podejmowana była gdzieś na wysokim szczeblu. Zarówno rada narodowa niższego szczebla, jak i pojedynczy obywatel, chociaż na co dzień właśnie oni byli najbardziej zainteresowani w funkcjonowaniu komunikacji miejskiej, przebudowie tej czy innej ulicy, wielkości i asortymentu produkcji miejscowej fabryki — w praktyce niewiele mieli o tym do powiedzenia. Decyzja należała do „władzy”, do której nie zawsze łatwo było dotrzeć.

Nic więc dziwnego, że uchwała VIII Plenum wprowadza nowe, nie znane dotąd pojęcie, na które warto zwrócić szczególną uwagę. Zamiast sformułowania „terenowa władza” pojawia się „terenowa działalność”. A więc nie przekazywanie decyzji i poleceń, nie

tylko wykonywanie zarządzeń, nie tylko wykonywanie praw. Wydaje mi się nawet, że słowo „działalność” na plan pierwszy wysuwa nie prawo „władzy”, ale jej obowiązek. Oczywiście obowiązek stosowania się do podstawowych przepisów prawnych, ale przede wszystkim obowiązek działania na rzecz obywatela, grup obywateli, które tę władzę powołały, które jej nie tylko słuchają, ale i wymagają i pomagają.

Oczywiście samo sformułowanie niewiele by znaczyło, gdyby po nim nie przyszły inne, bardziej realne postanowienia. Jak świat światem władza należała do tego, kto posiadał pieniądze. Do początku pierwszego okresu decentralizacji budżety wszystkich rad narodowych opierały się w olbrzymiej części na dotacjach skarbu państwa. Skarb państwa zabierał niemal wszystkie dochody i następnie dawał do rozdziału ściśle ustalone sumy. Z dokładnym określeniem, na co mają być zużyte. Oczywiście nikt nie może twierdzić, że dawano je celowo źle. Ale przecież inaczej wiele spraw wyglądało na miejscu, a inaczej przy jakimś biurku w Warszawie. Stąd mimo najlepszej woli nieporozumienia, kwasy, pretensje. Od kilku lat systematycznie punkt ciężkości przesunął się w teren. Tzw. dotacje wyrównawcze skarbu państwa spały o połowę, wzrosły natomiast dochody własne rad narodowych. Ow punkt ciężkości przesunął się do wojewódzkich rad narodowych. Początkowo byliśmy tym wszyscy zachwyceni, potem tylko zadowoleni, a potem... Potem stało się aktualne stare przysłowie: apetyt wzrasta w czasie jedzenia. Zaczęliśmy kolejno dochodzić do wniosku, że o coraz większej ilości spraw decydować powinna nie wojewódzka, ale powiatowa czy miejska rada narodowa. Toczyły się na ten temat zażarte dyskusje na różnych zebraniach, w czasopiśmie i prasie codziennej, w radio i telewizji, przy czarnej kawie i przy lodach. Uchwała VIII Plenum przyznała całkowitą rację właśnie tym, którzy domagali się dalszej decentralizacji.

I tak właśnie zaczął się drugi, nowy okres w działalności rad narodowych. Już dzisiaj można powiedzieć z góry, że realizacja nie będzie przebiegała zbyt łatwo. Podobnie zresztą jak w

(Dokończenie na str. 2)

ROMAN JABŁOŃSKI

Miasto mojej miłości

Motto:

W żalobie twoich
pożegnań
Jest pewność radosna
powitań

O moje miasto jedyne
Miasto szalonych ludzi
Miasto krwawych obłoków
Nad Wisły srebrzystą smugą

Na każdym twoim bloku
Anioł kamienny się budzi
I z twarzą ukrytą w dłoniach
Płacze albo się modli

O miasto! Jeśli pobieram
Wszystkie twoje cierpienia
Twoe bohaterstwa przytulę
I każdą śmierć zliczę

To ponad gwiazd nieskończoność
Wypełnię twoje ulice
Płatkami róż i krzyżami
Miłością i bólem

Pieśnią na usta sfruniesz
Wierzbą w Wiśle się przejrzyś
W matki spojrzeń jak w strunach
Roźmiejesz się i rozrównisz

W dzieci dojrzejesz beztroście
W gniewie rozsadzisz nam piersi
Miasto z granitu i wosku
Narodzin naszych i śmierci

Niech zbliżniej twym niebem
Niech mnie twa wzniosłość uskrzydli
Chcę być kamieniem pod próg twój
I chlebem na twoje wargi

Pragnę w głąb żył twoich wtargnąć
Serdecznym tętnem mych wierszy
Miasto mojej miłości
Ostatniej i pierwszej

GRA VA BANQUE

PIOTR GOCH

W JEDNYM z ostatnich numerów „Kamień” p. Jerzy Dostatni poruszył arcyważny, moim zdaniem, problem współczesnej cywilizacji: przestępczość nieletnich. Przytoczone cyfry i fakty, aczkolwiek nie kompletne, stanowią dość przejrzystą ilustrację tego zjawiska. Wątpliwym pocieszeniem byłyby dane statystyczne obrazujące proces i sam problem przestępczości wśród nieletnich w innych państwach. Wiadomo, że kłopoty z młodzieżą, która nie ukończyła osiemnastego roku życia, mają nie tylko Włosi, Francuzi, ale i Niemcy, Szwedzi, Angli, Amerykanie, a więc kraje odciekające dobrobytem. Poważna publicz-

styka zajmuje się tym problemem nieustannie.

Wiek XX, wiek atomu i lotów kosmicznych, a zarazem wiek zwiększającej się przestępczości nieletnich. Niełatwo dociec i ustalić konkretne przyczyny tego groźnego zjawiska społecznego. Eksperci UNESCO, którzy od kilku lat prowadzą badania w tym zakresie, doszli do wniosku, że chuligaństwo i przestępczość nieletnich jest pochodną buntu młodych przeciwko starszym, który w ostatnich czasach przybrał takie formy i rozmiary jak nigdy w dziejach. Ta psychoneuroza szerzy się we wszystkich kręgach społecznych młodzieży. Charakterystyczne, że współczesny chuligan i nieletni przestępca działa w grupie tzw. gangu. Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w ONZ, Adlai Stevenson, w studium o groźbie zorganizowanej zbrodni w stanie Illinois, pisał:

Najniebezpieczniejszym wrogiem normalnego życia społecznego, najgroźniejszym naruszcicielem porządku miast i wsi jest... obecnie „sym-

dykat zbrodni” a nie pojedynczy, izolowany przestępca.

Słowa te potwierdzają obliczenia. W niektórych krajach 88% przestępstw, których dokonali nieletni, popełniono w gangu i „dzięki” jego istnieniu. Niepewność naszej epoki, utrata autoritetu przez rodziców, przestarzałość szkolnictwa, które, jak twierdził Camus, „uczy dzieci myślenia w sposób przyjęty w świecie, który już nie istnieje”, specjalizacja i automatyzacja produkcji, które z ludzi młodych czynią tryby wielkiej maszyny produkcyjnej, zabijając w nich poczucie sensu i całości, to zdaniem ekspertów UNESCO dalsze przyczyny obecnej opozycji młodych wobec starszych.

KILKA miesięcy temu, w Genewie, odbył się kongres socjologów. Angielski psychiatra, dr Gibbens wygłosił na nim referat na temat chuligaństwa i przestępczości nieletnich, oraz przyczyn tego zjawiska.

(Dokończenie na str. 2)

Władza i działalność

(Dokończenie ze str. 1)

pierwszym etapie, kiedy różni urzędnicy władz centralnych mimo jasnych zarządzeń i poleceń usiłowali jak najdłuższą zachować sobie możliwie największą ilość uprawnień, aby w ten sposób przekonać nie tyle siebie, ile przełożonych, że są potrzebni, nawet niezbędni, że ci w terenie na nich, lub prawie na nich się nie znają.

Za nowym sformulowaniem i nowym określeniem działalności powiatowych rad narodowych poszły i inne fakty. Przede wszystkim dalsze wzmocnienie niezależności finansowej tych rad. W tej chwili w naszym województwie jeszcze 30—50 proc. budżetów powiatowych rad narodowych uzupełnianych jest dotacjami WRN. Jeszcze w lutym na seminarium ekonomicznym dla dziennikarzy, a ostatnio na VIII Plenum, minister finansów zapowiedział, że powiatowe rady narodowe będą brały udział w akumulacjach przedsiębiorstw zarządzanych centralnie, że otrzymają część podatków od wynagrodzeń, a później przejmą szereg dalszych przedsiębiorstw, w tej chwili jeszcze zarządzanych centralnie. Szczególnie cenna jest ta pierwsza sprawa. Przedsiębiorstwa zarządzane centralnie uważały się dotychczas nierzadko niemal za udzielne księstwa, które wymagały wiele od władz terenowych (komunikacja, drogi, woda, szkoły itp), nie w zamian nie dając. Na naszym terenie było to zjawisko dość powszechne. Mimo istniejącej uchwały Rady Ministrów o obowiązku partycypowania tych przedsiębiorstw w inwestycjach komunalnych, w roku ub. wszystkie zakłady pracy na Lubelszczyźnie dały na ten cel 25 razy mniej, niż przedsiębiorstwa na terenie samego tylko Wrocławia. Sytuacja wprawdzie już się zmienia, aby przytoczyć tylko przykłady lubelskiej FSC czy Drożdżowni, cementowni w Chełmie czy ZWSI w Poniatowej, ale daleka jest jeszcze od tej, jaka istnieje w wielu innych województwach.

W tej chwili drugi okres decentralizacji jest dopiero zapoczątkowany i brak jeszcze aktów prawnych, które wykreślałyby dokładnie jego granice. Znamy jednak zasadnicze kierunki i wiemy, że zapowiedziane zmiany zostaną konsekwentnie przeprowadzone mimo takich czy innych możliwych oporów.

Jakie niespodzianki czekają nas w trakcie realizacji nowego okresu działalności rad narodowych, niech świadczy może drobny, ale charakterystyczny fakt z dziedziny zaopatrzenia Lublina w warzywa i owoce, szczególnie dotkliwy właśnie w obecnym okresie. MRN w Lublinie jest radą miejską nie tylko z nazwy, ale istoty i funkcji miasta. Sprawy rolnictwa potraktowano więc bardzo a bardzo marginesowo. Odpowiedni wydział ustawiono zarówno ilościowo, jak i jakościowo, na niskim poziomie. A przecież w mieście żyje 190 tys. ludzi, którzy powinni jeść codziennie ok. 150 ton jarzyn. Trzy razy więcej, niż przeciętny, rolniczy powiat naszego województwa. Ale kto miał się o to martwić? Ponieważ prawie nikt się tym nie zajmował, ogrodnictwo na terenie miasta podupadło, a na terenie powiatu też się nie rozwijało, bo przecież powiat był rolniczy. Dla odmiany na terenie miasta powstało aż 10 kółek rolniczych, którym własna rada jako miejska nie mogła dać ani jednego agronoma, a które z Funduszu Rozwoju Rolnictwa nie mogły dać ani grosza na zakup maszyn czy urządzeń ogrodniczych, bo wolno im dać tylko na rolnicze. W rezultacie wytworzył się taki paradoks, że jedni z okolic Lublina wysyłali nowaliki na drugi koniec Polski, a nawet za granicę, a inni — ci z terenu miasta — sprowadzali nowaliki z Warszawy czy Łowicza, nie mogąc pokryć zapotrzebowania.

Nie chodzi o mnożenie przykładów. Rzecz w tym, że zgodnie z uchwałą VIII Plenum „władza” schodzi bliżej do obywatela, że przestaje być władzą od rozkazywania, a staje się władzą od zarządzania. Zarządzanie zaś to konkretne, widoczne i odczuwalne przez każdego coraz większe zaspokojenie potrzeb ludności w zakresie produkcji, zaopatrzenia, usług, potrzeb kulturalnych. To usprawnienia organizacyjne, dostosowane do lokalnych warunków.



Pałac w Łaszczowie (poc. tomaszowski) Elewacja frontowa, 1957
Elewacja tylna i boczna — p. na str. 3

GRA VA BANQUE

(Dokończenie ze str. 1)

ska. Główną przyczyną zła dr Gibbens widzi w błędnym wychowywaniu dzieci: przesadna troskliwość i obawa przed przykrymi doświadczeniami życiowymi, pobłażliwość i uległość wobec kaprysów i zachcianek dzieci, oszczędzanie im trudu, niekonsekwencja w postępowaniu, nieświadomy lęk o ich życie, wypływający z groźby masowej zagłady. Ta skłonność do rozpieszczania, ten przesadnie opiekuńczy stosunek rodziców do swych dzieci, wywiera fatalny wpływ na kształtowanie się osobowości dziecka, potęgowany przez stale przedłużający się okres dysproporcji między wiekiem dojrzałości psychicznej i fizycznej. Długoletnie bowiem badania wykazały, że w krajach o wysokiej cywilizacji i odpowiednio wysokim standardzie życiowym ludności przeciętna wieku, w którym młodzież osiąga dojrzałość biologiczną, stale się obniża, wzrasta natomiast wiek, w którym młodzież nabywa zdolności rozumnego korzystania z fizycznych możliwości. Innymi słowy, trudny okres dysproporcji pomiędzy dojrzałością biologiczną a psychiczną stale się przedłuża. Obserwacje doświadczonej pedagogów potwierdzają te wyniki badań: każdy następny rocznik w tej samej klasie jest bardziej „dziecinny” umysłowo. Poziom umysłowy dzisiejszej młodzieży jest bezsprzecznie niższy od tego, który reprezentowała młodzież sprzed kilkunastu lat.

Niemalże znaczenie, jeśli chodzi o wychowawcze oddziaływanie rodziców na dzieci, ma to, że 1/3 dorosłych cierpi na schorzenia o powinowactwie neurotycznym.

Pierre Gasca, omawiając referat angielskiego psychiatry na łamach „Le

To wreszcie kształtowanie świadomości obywatelskiej społeczeństwa. Do rad powiatowych wchodzi ludzie, których znam z osobistych kontaktów. Do komisji rad wchodzi po kilkadziesiąt innych osób, wchodzących się ogólnym zaufaniem. Każdy z nas może przyjąć na sesję rady i nawet zabrać głos. Łatwiej przecież trafić do wydziału powiatowej rady na miejscu niż do departamentu ministerialnego czy nawet wydziału WRN.

ostatnia kampania wyborcza wykazała niezwykle duży wzrost zainteresowania społeczeństwa działalnością rad narodowych. Świadczą o tym chociażby tysiące zgłoszonych wniosków i spostrzeżeń, świadczą wzrastający udział ludności w organizowanych przez te rady czynach społecznych. Drugi okres decentralizacji wychodzi naprzeciw tym iniejącym, daje każdemu obywatelowi możliwość niemal bezpośredniego udziału w decyzjach, ważnych nie tylko dla państwa jako całości, ale także dla terenu, na którym żyje i pracuje. I to chyba jest największym sukcesem zmian, które właśnie zaczęliśmy wprowadzać, jest także logicznym wnioskiem z przemian, którym podlegały rady narodowe w ciągu 18 lat swego istnienia.

Jerzy Dostatni

Figaro Littéraire”, pisze w zakończeniu:

Ta niewspółmierność rozwoju fizycznego z rozwojem duchowym... to nie tylko problem młodzieży, lecz także typowy przejaw, symbol naszej epoki. Ileż dóbr, ileż bogactw, ileż nowych możliwości zyskałyśmy w ostatnich czasach. Przedłużono nam życie, uwolniono nas od najrozmaitszych przykrości, trudów, chorób. Zyjemy coraz wygodniej. Coraz więcej umiemy, kosztem coraz mniejszego wysiłku. Bez trudu, bez zwłoki, dowiadujemy się o wszystkim, co się dzieje na naszej planecie. Świat podsuwa nam niezliczone przyjemności, zabawy, rozrywki, zdawałoby się — psuje nas i rozpieszca. A jednak nie potrafimy uczynić szczęścia trwałym, ani nadać mu kształtu naprawdę godnego człowieka.

Po prostu nie dojrzelśmy. Nie dojrzelśmy do naszej nowej sytuacji; stąd — awantury, burdy, ustawiczne zakłócenia spokoju publicznego, zwane polityką międzynarodową... Innymi słowy, ludzkość przechodzi „trudny okres” swego rozwoju...”

Zjawisko przestępczości nieletnich jest jedną z anomalii, dysproporcji naszej epoki. Nie znaczy to wcale, że młodociani nie dopuszczali się czynów przestępczych przedtem. Ale ciężar gatunkowy — jeśli wolno użyć takiego określenia — motywy i pobudki ich dokonywania różnią się w sposób zasadniczy od współczesnych. Przed wojną na przykład zaliczano do przestępców chłopca, który zakradł się do ogrodu sąsiada, na gruszki lub truskawki, lub skradł sklepikarzowi parę złotych z jego szuflady. Były to czyny indywidualne mające swe źródło w braku opieki, w biedzie. Współczesny nieletni przestępca działa w grupie, zakłóca spokój publiczny, demoluje kioski, witryny sklepowe, kradnie, zabija kolegę, truje rodziców — z upodobania. I cały problem przestępczości nieletnich, groza tego zjawiska społecznego sprowadza się do tych dwu cech: działania w grupie i perwersyjności działania.

Indywidualne bowiem działanie przestępcze nie dostarcza tylu przeżyć emocjonalnych. Działanie w grupie natomiast stwarza okazję do wykazania się swym sprytem i zuchwałością. Ustępuje jednocześnie poczucie małej wartości, wytwarzane w domu i w szkole, a jego miejsce zajmuje samozadowolenie. Grupowe działanie ztraca dodatkowo poczucie dokonywania czynów przestępczych.

CO ROBIĆ?

STAWIANO już nieraz to pytanie w prasie i wiele dawano odpowiedzi. Są jednak sprawy do których należy powrócić. Otóż wydaje mi się, że aby zmniejszyć liczbę młodocianych stawianych przed oblicze sprawiedliwości, trzeba skoncentrować wysiłki na zapewnieniu młodzieży warunków do odpoczynku i wyładowania energii. Wobec tendencji we wszystkich krajach do przedłużania obowiązków nauczania w szkołach i zwiększania obciążenia intelektualnego (w naszej dyskusji na temat reformy szkolnictwa ogólny tenor wniosków sprowadzał się raczej do zmniejszenia tego obciążenia), wobec

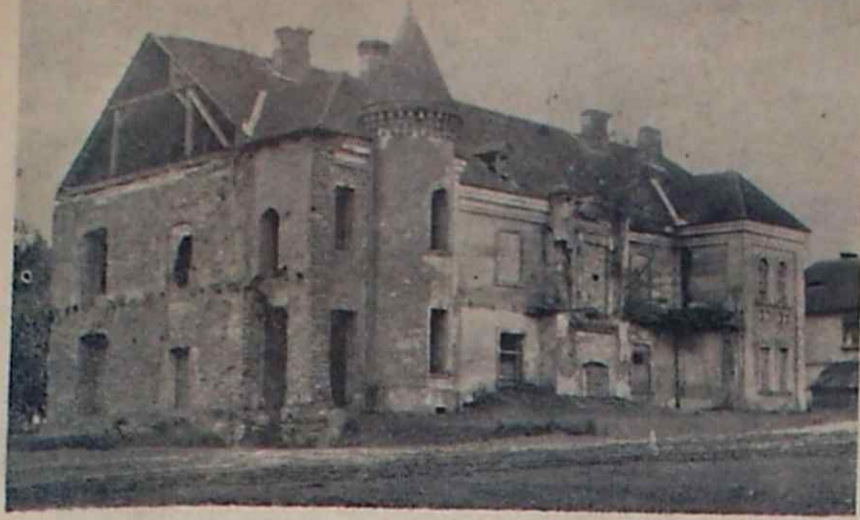
faktu rosnącej technizacji i automatyzacji, które poważnie skrzywiają proporcje naszego życia i zakłócają stan równowagi psychicznej, sprawa wypoczynku jest szczególnie ważna. Należy żądać od urbanistów, aby planowali nie tylko domy i garaże, ale także przestrzenie zabawowe i sportowe, kluby i lokale rozrywkowe. Ważnym środkiem do walki z przestępczością i chuligaństwem może być masowy sport i kultura fizyczna. Metody ich wydają się dzisiaj przestarzałe i należałoby je zrewidować.

Wybryki młodzieży pochodzą częściej ze skłonności do przygód, z chęci wyróżnienia się i zaimponowania, z marzeń niepowściągniętych i ekscentrycznych. Młodzieniec nie widzi atrakcji w ramach ujętego w normy prawne i etyczne życia. Potrzeby przerstają możliwości, wpadnięcie w kolizję z tym życiem jest nieodwracalnym następstwem. Niemniej nawet w granicach najeżonego przepisami, ukanonizowanego życia istnieją możliwości zaspokojenia potrzeb dziecka i młodzieńca. Oto przykłady. Na terenie naszego województwa kilku chłopców skradło konie, aby udać się na nich w góry. Na terenie jednego z województw zachodnich grupa nieletnich postanowiła zbierać informacje szpiegowskie, aby je odsprzedać NRF za skutery. Skuterów naszym dzieciom zapewnić nie możemy, ale obozy wędrownie, kolonie dla tych, którzy nie mają możliwości wyjazdu w miesiącach wakacyjnych, możemy zorganizować. Przykładów tych możliwości dostarczyły nam niedawno nasze lubelskie zakłady pracy i instytucje. A oto wzór skromnego eksperymentu wywołania w sprzyjających warunkach z silnych, otoczonych blaskiem autorytetu, przestępczych jednostek, cech dodatnich.

W Zarach k/Rybnika MO wykryła szajkę młodych włamywaczy, którym przewodził energiczny, przedsiębiorczy chłopiec. Komendant posterunku zorganizował im świetlicę, udostępnił boisko, przeprowadził rozgrywki sportowe. W dzień — nauka w szkole, wieczorem — zajęcia w świetlicy, noc — w domu. Wódz szajki nie stracił autorytetu, jakim cieszył się w gronie swych podkomendnych; zdobył mistrzostwo w ping-pongu, podciągnął się w nauce. Perspektywa zakładu poprawczego została uchylona. Chodzi więc o to, ażeby normalnym skłonnościom do wyzucia się zapewnić ujście, ująć je w zorganizowane ramy, a nie pozostawiać ich na pastwę losu i decyzji tych, którzy do niej jeszcze nie dorosli. Liczyć się przy tym należy z faktem, że zarówno dzieci, jak i dorosła młodzież, nie cierpią wielkich związków i zrzeszeń surowo uhierarchizowanych. Słuszne zatem wydaje się oparcie pracy na małych kółkach i klubach organizujących się samorzutnie na zasadzie przyjaźni i koleżeństwa (co dzisiaj znajduje swój wyraz w bandach młodzieżowych). Pracę w takich zrzeszeniach winni podjąć specjalnie przygotowani do tej funkcji wychowawcy socjalni, a metodą ich pracy powinno być nie mentorstwo i tradycyjne zrządzenie na zachcianki młodzieży, lecz prawdziwie wychowawcze oddziaływanie na młodzież, współżycie z nią, udział w jej pracach i zabawach.

Oczywiście sugestie te nie wyczerpują zagadnienia form i sposobów walki z omawianym tu złem. Chodziłoby mi właśnie o wznowienie dyskusji o kwestiach, które, niestety, bynajmniej się nie zdezaktualizowały.

Piotr Goch



DLA KULTURY

HENRYK GAWARECKI

AKCJA odbudowy zabytków, prowadzona w ostatnich latach w coraz szerszym zakresie, ma na celu nie tylko zachowanie dla przyszłych pokoleń tkwiących w nich wartości artystycznych i kulturalnych, ale w równym stopniu przystosowanie tych obiektów do potrzeb współczesnego życia.

Dlatego to w restaurowanych zabytkach znajdują się dziś szkoły i szpitale, domy czasowe i internaty, zakłady wychowawcze i magazyny. Mieszczą one również domy kultury, kina, świetlice, biblioteki i muzea, służąc potrzebom resortu kultury.

Na terenie województwa lubelskiego akcja odbudowy i adaptacji zabytków dla potrzeb kulturalnych rozpoczęła się już w 1949 roku. W Kazimierzu Dolnym przystąpiono do adaptacji XVIII-wiecznej bóżnicy na kino. Adaptację przeprowadzono bez naruszenia wartości bryły budowli i jej wnętrza, jednocześnie zaś zaspokojono niemal wszystkie dezyderaty użytkownika. Również w Kazimierzu Dolnym odbudowano w latach 1953-54 tzw. Szpitalik św. Anny z poł. XVII wieku przy ul. Lubelskiej. Dziś w budynku tym mieści się biblioteka i świetlica.

W Opolu Lub. w latach 1955-56 przeprowadzona została adaptacja klasycystycznego spichlerza z końca XVIII wieku na kino, z pełnym wykorzystaniem murów budynku, który doskonale pomieścił w swym wnętrzu salę widowiskową, poczekalnię, kasy i kabinę kinooperatora.

Do budynków częstokroć o dużej wartości zabytkowej, które przestały służyć swemu pierwotnemu celowi, a przeto wymagały znalezienia nowego użytkownika, należały bóżnice. Kilka z nich zaczęto ostatnio odbudowywać dla potrzeb kultury. I tak w Łęcznej XVII-wieczna bóżnica, czczeniowo już adaptowana — mieści świetlicę i bibliotekę miejską. W 1962 r. zostanie wykonana obszerna sala ze wspaniałą późnorenansową „bimą” (jedyną dziś w Polsce) na środku; sala zaspokoi potrzeby miasta, jako

czytelnia prasy, klub i sala wystawowa.

Szczególnie reprezentacyjnie przedstawia się lokal powiatowej i miejskiej biblioteki w Zamościu. Mieszczą się one w zabytkowej renesansowej bóżnicy z końca XVI wieku przy ul. Pereca. W 1962 r. budynek otrzyma jeszcze piękną renesansową attykę. Wspaniała sala modlitewna, nakryta sklepieniem bogato dekorowanym sztukateriami, które zdobią również ściany, jest dziś czytelnią. Będzie ona szczególnie potrzebna miastu, gdy otwarte zostanie w Zamościu Studium Zaoczne UMCS.

Bóżnica w Szczebrzeszynie z pocz. XVII wieku, spalona przez hitlerowców w końcu 1939 r., długo czekała na właściwą odbudowę. Dziś budynek jest już nakryty charakterystycznym łamanym dachem gontowym i otoczony zrekonstruowanymi babińcami; trwają już roboty we wnętrzu. W bóżnicy znajdują się pomieszczenia biblioteka, świetlica i ognisko muzyczne.

W Modliborzycach bóżnica z ok. 1760 r. została całkowicie zdemolowana w pierwszych latach powojennych. Odbudowa, przeciągająca się z powodu ograniczonej ilości środków finansowych, weszła już w stadium decydujące. W tym roku obiekt zostanie nakryty dachem, w 1962 r. przewiduje się roboty wykończeniowe. W bóżnicy znajdzie się wspaniała, jak na potrzeby osiedla, sala widowiskowa z dobudowaną sceną i zapleczem. W izbach frontowych mieścić się będzie biblioteka gromadzka.

Obiekty zabytkowe mogą być również adaptowane na cele muzealne. Zamek w Lublinie, a właściwie zabudowania więzienne z pocz. XIX w., doskonale służą dziś jako sale ekspozycyjne, magazyny muzealne i administracja Muzeum Lubelskiego. W zespole muzealnym znajdują się również najcenniejsze i najstarsze obiekty Lublina — kaplica zamkowa z XIV wieku oraz XIII-wieczny donżon. Dla celów muzealnych odbudowywana jest obecnie Brama Krakowska. W jej wnętrzu znajduje się oddział muzeum historycznego miasta Lublina.

W pięknym wczesno-klasycystycznym pałacu w Nałęczowie, którego odbudowa i konserwacja została ukończona przed kilku miesiącami, znajdzie miejsce muzeum Bolesława Prusa. Dzięki temu utrwalone zostaną związki sławnego pisarza z Nałęczowem.

W Romanowie (pow. włodawski) w zabytkowym dworze Kraszewskich z pocz. XIX w., spalonym

JEAN COCTEAU

Czy zatem mnie słyszą?

Francjo zielona, ziemio słodka,
Kraino takich win i kobiet,
Jakich by nigdzie nikt nie społkał,
Choćby Europę całą obiegł.

Gdy cię opiewam na swój sposób,
Każdy drwiąc śmieje się złośliwie,
Lecz kiedyś przyjdę też do głosu
I pieśń ma zabrzmi w uszach
tkliwie.

I ten co chciał mnie kąsać
pierwszy,
Widząc na opak cień mej twarzy,
Zrozumie nagle, że mę wiersze
Zawsze na ladu stały straży.

I przyjacielem mym już będzie
Mówiąc: czyż wielka to jest wina,
Ze on rozrzucał rymy wszędzie,
Kończył wiersz nimi lub zaczynał.

Odwagi! Skąd Ronsarda siła,
Którego dzisiaj każdy sławi?
Bo róża serce mu przeszyla.
Siąd ja też atramentem krwawię.

Ludzie nie czują, gdy w południe
Słowika dzwoni pieśń wspaniała
I lepiej ich przekona — w urnie
Garść serca mego spopieliała.

TRISTAN DEREME

Piosenka

— Czterech pór roku sprzedawczyni,
Czy zechcesz jedną mi spieniężyć:
Wiosnę szczęśliwą, kiedy księżyc
Ponad dachami domów płynie?

— Nie mam już wiosen, biedaczysko,
I lata nie mam jak i wiosen:
Kilenci mi zabrali wszystko,
Próżno ich wzywam pełnym głosem.

— Bym gorycz serca mógł ośłodzić,
Daj mi choć jakąś piękną jesień:
Niech aż do zimy pieśń się niesie
O mej młodości, co odchodzi.

JEAN CASSOU

Ręka

Ręka, jej pismo, jej pieśń, jej
ręka, co spada jak ptak z góry,
ręka, co słowem się otwiera,
ręka, co mówi jak fal przypliw,
ręka.

Śmierć, niespodzianka jej i słodycz,
śmierć, co przechadza się jak dzieweczka,
śmierć, co uśmiecha się jak święta,
śmierć, co ma rację jak królowa,
śmierć.

Daj rękę śmierci,
ręka i śmierć niech idą
razem
bardzo daleko.

SABINE SICAUD

Piosenka małego kamyka

Myślą, że jest milczący; ja wiem, że on śpiewa.

Śpiewa na skraju drogi swą pieśń małego kamyka.

Ale że śpiewa cicho, ludzie zwykle nie o tym nie wiedzą.

Czy dowiedział się w rzece, czy w belkocie strumienia

o wody tajemnicach? Czy leżąc przy drodze

dowiedział się tajemnic przechodzących istot?

(Sabine Sicaud ur. w r. 1913, zmarła w r. 1928
— fenomen w swoim rodzaju, zaczęła pisać
dojrzałe wiersze nie mając lat dwunastu...)

Z NOWEJ POEZJI
FRANCUSKIEJ
PRZEŁOŻYL
KAZIMIERZ ANDRZEJ
JAWORSKI

Bóżnica w Szczebrzeszynie (pow. zamojski), 1961 r.



w czasie walki Niemców z partyzantami w 1943 r., prowadzona jest odbudowa. W 1962 r. — w stopięćdziesiątą rocznicę urodzin Józefa Ignacego Kraszewskiego — nastąpi tu otwarcie poświęconego mu muzeum biograficznego.

Skromny drewniany dworek w Woli Okrzejskiej, miejsce urodzenia Henryka Sienkiewicza, użytkowany obecnie na mieszkan'a dla dawnej służby folwarcznej, jest już pod opieką służby konserwatorskiej. Dzięki inicjatywie i staraniom społeczeństwa powiatu łukowskiego w dworcu znajdują pomieszczenia: muzeum biograficzne pisarza, biblioteka z czytelnią oraz stacja turystyczna. Pozwoli ona zorganizować „Szlak sienkiewiczowski” uwzględniający wszystkie miejscowości związane z osobą i twórczością pisarza.

Cytowane powyżej obiekty to naturalnie tylko wybrane przykłady, ilustrujące poruszoną kwestię.

OCZYWIŚCIE nie wszystkie budowle zabytkowe, mogące służyć celom kultury zostały już odbudowane.

I tak np. w Łaszczewie znajduje się d. pałac Szeptyckich z poł. XVII wieku (zdemolowany wskutek braku użytkownika), który wraz z bóżnicą mógłby zaspokoić potrzeby kulturalne osiedla. Tzw. wieża arianska w Wojciechowie gotycko-renesansowy zabytek z pocz. XVI wieku, po adaptacji mogłaby mieścić świetlicę, salę kinową, stację turystyczną. Cerkiew po-unicka w Rejowcu, klasycystyczny obiekt z końca XVIII wieku, da się doskonale adaptować na salę kinową. Wspaniała

(Dokończenie na str. 7)

Bóżnica w Łęcznej (pow. lubelski), 1960 r.



KRÓLEWICZ

EDWARD STACHURA

BYŁO to, świętej mojej pamięci, wtedy, kiedy nienawidziłem wypielniała mi wszystkie żyły i czasami się przelewała. Nie miałem już jej w małym palcu tylko, bo miałem za sobą wiele podłych losów i serce przez to bardzo skałeczone i dużo moich tablic czarno zapisanych. Ale ona mnie ulubiła widzieć i wybrała na swojego rycerza, ta pani nienawistna, na swojego królewicza mnie wybrała, żebym ciągle podnosił jej czarne chusteczki upuszczane.

Było to, czarnej mojej pamięci, w czasie wczesno-zimowym albo późnojesiennym, na tej granicy wątej i niebezpiecznej, kiedy powietrze bardzo zdradliwe, bo jeszcze wilgotne, a już się suche wiatry północne i wschodnie zrywają lodowate. Było to w tym czasie chorobliwym, nie wiadomo jakim. Miałem już wtedy za sobą wiele podłych losów i dwie zimy bez demu własnego, jakieś 150 tych dni i 150 tych nocy. Miałem już wtedy ręce odmrożone, choć tej drugiej zimy owijałem je sobie dwiema szmatami, dwoma takimi ręcznikami, które ukradłem z ustępów w kawiarniach, ale było już za późno. Ale byłem już jednak złodziejem grosza publicznego.

Mając to wszystko za sobą i jeszcze dużo więcej, co też mogłem mieć przed sobą, ja — królewicz? Jakie podle losy? Jakie paniki miały mnie gnać? Jakie perspektywy? Dzień był właśnie taki niewiadomy, chorobliwy, ale nie windomo. Nie był to dzień jesienny i nie był to dzień zimowy, i nie był to nawet dzień pół na pół. Miałem go właściwie za sobą, bo mogła być trzecia, czwarta godzina popołudniowa i było już szaro o tej porze roku. Ale jeszcze nie ciemno. Wszystko było na tej granicy wątej, a ja najwięcej.

Mając ten dzień za sobą i jeszcze dużo więcej, co też mogłem mieć przed sobą, ja — ulubieniec? Jaki wieczór? Jaka noc miała mnie gnać? Jaka perspektywa? Siedziałem w kawiarni jednego miasta przekłętą i patrzyłem trochę na ludzi eleganckich i trochę na wielkie szyby, za którymi był ten dzień niewiadomo jaki: z białym, ze śniegiem wodnistym i z tym wiatrem mroźnym ze wschodu, który to on mnie zapędził do tej kawiarni, tak mnie pchał w plecy lodowate. I w butach też miałem mokro. Jeszcze nie gnój, ale dosyć mokro. Skarpetki mi się przyklejały do stóp niemile. Co jakiś czas przechodziła mnie elektryczność lodowata: zęby mi klekotały, trzęsła mi się broda i jakby włosy też mi się poruszały na głowie, tak mi się zdawało bardzo wyraźnie. Bardzo dziwnie. Nie miałem jeszcze wtedy palta od Staszka Roztworowskiego. Nie miałem tego za sobą. Chodziłem w swoim stroju amerykańskim bardzo mocnym, ale zwiewnym i dla wiatru lodowego, dla tego wiatru przekłętą, to nie była żadna bariera, żadna watolina. Wchodził mi w plecy na przestrzał przenikliwie, że musiałem wstać do tej kawiarni, gdzie wiedziałem, że będą na mnie patrzeć, ja na nich; ale nie wiedziałem, że będzie wylew. Nie wiedziałem, że będzie wylew.

Wszedłem i od razu zauważyłem kilka spojrzeń: „a ten, co to za jeden?” Ale ja nastawiłem się na spokojność i na obojętność. Nakazałem sobie nie zwracania uwagi. Usiadłem w rogu, zdjąłem buty, żeby nikt nie widział i postawiłem stopy na oparciu drugiego krzesła. Zamówiłem herbatę i tak sobie siedząc pozycyjnie patrzyłem trochę na wielkie szyby i trochę na ludzi eleganckich, za którymi byli inni ludzie eleganccy i jeszcze inni: sama elegancja. A jeszcze inni wchodziłi i było coraz bardziej elegancko może, ale nie było już miejsc jednak i jeden z tych podszedł do mojego stolika i powiedział, zaczął pisać w te słowa:

— Bardzo pana przepraszam. Czy pan może na kogoś czeka?

— Nie.

— To z pewnością nie czekał pan równie i na mnie, cha, cha, ale czy pozwolił pan łaskawie, że mimo tego się przysiądę i zakłócę panu samotność?

Nie pomyślałem, fenomenalna moja pamięć, że wszystko co powiem i tak nie dorówna jego słowom, tylko powiedziałem: „proszę bardzo”, ale pomyślałem, fenomenalna moja pamięć, że lepiej by mi się coś innego wymówiło przez zęby. Bardzo chętnie. Usiadł na krześle, z którego już przedtem zdjąłem nogi i teraz nakładałem buty pod stołem, nie ruszając się, bo miałem takie buty bez sznurówek, które się wsuwa na nogi: mokasyny. Ale zacząłem na niego patrzeć, zacząłem go sobie rozpoznawać po twarzy. Miałem już wtedy za sobą wiele podłych losów i bardzo wiele najrozmaitszych twarzy już studiowałem. Miałem już za sobą takie twarze jak on. Całe zastępy, całe defilady tych twarzy okrągłych, słodkich i inteligentnych. Ale nie myślałem o nim nic złego. Nastawiony byłem na spokojność przez cały czas, na spokojne kontemplowanie. Nie czułem zupełnie jego promieni. Siedziałem swobodnie. Nie zabijał mnie ani trochę swoimi promieniami. Tak z nim siedziałem jakby sam siedziałem. Nie magnesował mnie zupełnie. Ja piłem herbatę, a on pił kawę małą czarną.

Patrzyłem trochę na niego i trochę na wielkie szyby, za którymi był już wieczór na pewno, a nie chciałem patrzeć na siebie w tył czy naprzód: jak to będzie? Musiałem myśleć o różnych rzeczach, nie pamiętałem, ale pamiętałem, fenomenalna moja pamięć i muzyczna, że myślałem o gitarze, że bardzo chciałbym mieć taką rzecz fantastyczną. Myślałem: jeśli bym dobrze grał, to może by mnie przyjęli Cyganie do siebie, a jak by nie chcieli albo się wahali, to bym grał coraz bardziej świetnie, tak świetnie, aż by się Cyganie zaczęli wstydzić swojej

wyższa trawa, i najwyższa trawa — otos pojedynczy, kiedy wszystko gnije to on wchodził w niebo”. A może nie miałem w tamtej chwili na to ochoty albo chęci, albo czegoś? To mogłem przecieć o czym innym myśleć, o tym na przykład: czy fabryka tytoniowa, która robi papierosy i pakuje, paczkuje ten sam gatunek w paczki po 12 sztuk i po 20 sztuk, czy ona tylko dobrze wyliczyła ceny? Czy ja wiem o czym mogłem myśleć? O czym mogłem mieć? Musiałem już koniecznie o nich myśleć? Ale ona mnie ulubiła widzieć i wybrała na swojego rycerza, ta pani nienawistna, na swojego królewicza mnie wybrała.

Przestałem więc myśleć o gitarze, co ja zrobić? i na nich zacząłem patrzeć, o nich myśleć, i od razu poczułem, jak nienawidzi porusza mi krew, jak czarna rzeka zalewa mi błękitną. Zamknąłem oczy i zacząłem mówić do siebie cicho, łagodnie bardzo: „Co ci jest, Sted? Co ci jest? Uspokój się, kochany. Co ty od nich chcesz?” Nie wiedziałem czego od nich mam chcieć, nie nie wiedziałem, nie nie wiem, jezu. „Uspokój się, Sted. Co oni cię obchodzą?” Ale to już była mowa do głuchego. To była nawet oliwa na ogień, to moje do siebie mówienie, a nie oliwa na wodę łagodzącą. Miałem oczy zamknięte i złapałem się dwoma rękami pod krzesło mocno. Miałem już takie stany uczuciowe. Miałem już wtedy za sobą wiele podłych losów i kilka takich wylewów straszliwych niebezpiecznych, kiedy chciałem kopać wszystkich i gryźć i kopać w brzuch, a potem chodziłem po tej granicy wątej i niebezpiecznej życia i śmierci. Bardzo wyraźnie. Bardzo niebezpiecznie. Chciałem się już zabijać.

Nie wiedziałem, co on mi zrobił, nie nie wiedziałem, nie nie wiem, jezu. Coraz to inni zaczęli na mnie patrzeć, coraz to inni zaczęli mnie dźgać, a ja wstałem, chciałem iść stąd jak najprędzej. Chciałem wyjść z tej kawiarni, z tego widowiska i iść sobie, odejść na stronę, w cień głęboki. Pod ziemię się zapasać jakby z wielkiego wstydu. Choć to nie był wcale wstyd ani trochę, tylko nienawidziłem mnie opętała całego bardzo niebezpiecznie i bałem się o jakieś ruchy nieoczekiwane i szaleństwa z własnej strony. Bo miałem już za sobą takie szaleństwa. Miałem już wtedy za sobą wiele podłych losów i kilka wystąpięń nieoczekiwanych, jeden raz w kinie. Pamiętam, jak się śmiało wiele osób z jednej bardzo smutnej rzeczy miłosnej. Dostałem wtedy ataku nerwowego. Wstałem i krzyknąłem: „Dlaczego się śmiejecie? Dlaczego się śmiejecie?” Z wielkim zalem to krzyknąłem. Nie zapytaniem, ale z wielką pasją żalową. Zaczęłem się przepychać między kolanami i uciekłem, wyszedłem z kina, nie zostałem do końca. Chodziłem po mieście i bardzo długo nie mogłem uspokoić serca oburzonego. Dopiero jak wszedłem do jakiegoś lokalu i zszedłem na dół do kibla, bo zachciało mi się odlać, a przy wyjściu stała stara kobieta i ja mówię: „Ile się płaci za ten gips?”. A ona mówi: „To od pana zależy” i mnie się wtedy tak na śmiech zebrało, że coś ode mnie zależy na tym świecie. Śmiałem się jak głupi i całe pięć złotych jej dałem starej dobrej pocieszycielce, jakbym rzeczywiście już złupiał albo nie wiedział co robić z walutą, ale jeśli ona była taka wspinałomyślna, to nie mogłem być gorzszy.

Więc coraz to inni zaczęli na mnie patrzeć w tej kawiarni, a ja wstałem i zacząłem się przepychać między stolikami, chciałem wyjść z tego kina, nie chciałem zostać do końca. I może jeszcze wtedy by nic nie było, ale jak przechodziłem koło jednego stolika, to ktoś powiedział:

— Ten to chyba z cyrku się urwał, czy co.

Ale nawet jeszcze wtedy mogło nie być, bo tylko spojrzalem na tego z powagą i z mądrością i z wielkim smutkiem nieobliczalnym. A spojrzawszy, miałem wyjść, odejść sobie gdzie indziej. Ale drugi z tego samego stolika powiedział:

— Jeszcze jak się patrzy bezczelnie

Siedziałem we trójkę, a może w czwórkę, a może być, że w piątkę, nie pamiętam tego w porywie i nie mówię tego dlatego, żeby siebie samego przez to bardziej uwidocznić: że ja byłem sam tylko. Ja dobrze wiem bez tego kto ja jestem. Ja sobie może nawet nie zdaję sprawy natomiast. Pamiętam te uśmiechy ich okrutne. Kopnąłem nogą ich stół różnymi napojami zastawiony. Przewróciłem się to wszystko, porozlewało się, pobiło, potrzaskało się trochę szkła taniego. To był poryw, choć na pewno byli ode mnie silniejsi w trójkę czy w czwórkę, czy też w piątkę, a bardzo możliwe, że nawet któryś z nich w pojedynkę by mnie skopał i pokonał. Ale nie pozwoliłem na to, bo po tym kopnięciu popędziłem do drzwi zaraz natychmiast w trzech skokach, a drzwi były takie obracane, nie normalne, ale takie cztery przegrody, cztery skrzydła dokoła osi. Uderzyłem głową o jakiś pręt tych drzwi przekłętą, ale nie przystanąłem, żeby to zbadać palcami. Tylko wyskoczywszy popędziłem na drugą stronę szerokiej ulicy w ciemniejszą uliczkę. Słyszałem, jak za mną wypadli i słyszałem okrzyki ich nieprzyjazne i to mi dodawało jeszcze pędu w nogi. Biegnąc cały czas zacerpnałem trochę śniegu wodnistego i przyłożyłem do czoła. Miałem guza. Czulem jak rośnie pod palcami. Biegłem tak z zapartym tchem od wiatru i strachu, ale robiłem jednak jak najwięcej zygaków dla utrudnienia. Bardzo rozsądnie. Stałem w końcu i schowałem się do jednej bramy ciemnej, żeby odetchnąć, uspokoić serce łomocące. Oddychałem tak, uspokajałem serce i podnosiłem trochę śniegu co jakiś czas i przykładałem do guza, który już jakby przestał się uwypuklać.

WODY też już nie podnosiły się wyżej. Opadały raczej i nadchodził teraz najgorszy może czas, najbardziej niebezpieczny, bo nie walki zapalczywej, ale obraz wielkiego zniszczenia dokoła. Zapiałem się szczerze, owinąłem się szalkiem i wyszedłem na ulicę, ręce do kieszeni wsadziwszy. A dokoła domy zaczęły mi się wylaniać, okna jasne i ciemne, okna, okna, i od razu wiatr się też za mną wyłonił przekłętą mroźną, wyl



Oczepka — Dzieło śpiącego przypieka

odmowy, i obrali mnie królem. A przed królem by nie utracili swojego wstydu, to dobrze, bo taki wstyd, to byłaby dla mnie opieka. Myślałem: ufarbowałbym swoje blond włosy na czarno i nie obcinałbym swoich czarnych włosów: niech schodzi ten wieniec na szyję, barki i niżej. Wtedy bym wprowadził zwyczaj, żeby się nie witać podawaniem dłoni, a przez dotykanie sobie włosów. To byłoby ładne bardzo i delikatne jeszcze więcej, a także moja władza królewska by się przez to umocniła i byłaby długa jak moje włosy.

Tak sobie myślałem bardzo pięknie, ja — królewicz i przypuszczam teraz, że gdybym sobie wtedy myślał tak dalej, to wszystko by się potoczyło na pewno nie bardzo pięknie ani nawet dobrze, ale chyba dużo lepiej dla mnie, niż się potoczyło. I potem jeszcze. Piłem gorącą herbatę, paliłem papierosa, atmosfera była ciepła i mogłem przecieć nie patrzeć na nich, nie myśleć, że to jest ich atmosfera nie moja. Mogłem przecieć o czymś innym myśleć. Mogłem przecieć patrzeć i nie nie widzieć, i układać sobie w głowie jakieś słowa obok siebie, jakiś wiersz nieśmiertelny, o tym na przykład: „jak lotosy wchodzi w niebo i

Miałem oczy zamknięte, bałem się otworzyć oczy, trzymałem się dwoma rękami pod krzesło mocno, dziesięcioma paznokciami. „Nie ruszaj się, Sted, nie ruszaj się nic”. I może by mi przeszło, może by nic nie było. Wszystko by się gotowało jeszcze trochę i jakoś by mi przeszło chyba, jakoś by się wszystko wygotowało na pewno. Chyba na pewno. Ale on powiedział:

— Co panu jest? Przepraszam bardzo.

Rozsunąłem oczy i najpierw złapałem kilka spojrzeń tych dalszych: „a to ten”, a potem dopiero zauważyłem towarzysza najbliższego: jego oczka małe zaciekawione. Siedziałem prosto, patrzyłem na niego, nie nie mówiłem, a on znowu powiedział:

— Może panu niedobrze? Ja bardzo pana przepraszam.

Tylko już inaczej to powiedział, strachliwie. Strachliwość już mu się narodziła w oczach, a ja nie nie mówiłem.

A on już zaczynał głupieć i zaczął się jękać:

— Co panu jest? Co panu jest?

Ale już zaczynał pojmować:

— Co pan ode mnie chce? Co ja panu zrobiłem? Ja pana nie znam.



Historia pewnego oezarowania

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

Bernard Shaw wg portretu Williama Rothensteina

„Jest takie stare powiedzonko, że jeśli ktoś nie zakochał się przed czterdziestką, niech lepiej nie zadurza się później. Zaobserwowałem dawno, iż reguła ta znajduje zastosowanie nie tylko w miłości, ale i w wielu innych dziedzinach, na przykład w pisaniu sztuk, i zakarbowałem w pamięci przestroję: gdybym nie zdołał stworzyć z pół tuzina sztuk, zanim skończę lat czterdzieści, trzeba będzie dać spokój dramaturgii!”

WTE słowa zaczyna Bernard Shaw jedną ze swoich przemów, datowaną rokiem 1898.

Wyznaczoną sobie normę dla teatru wyrobił na czas, bo w 1896 r. miał już w dorobku: „Szczygli zaulek”, „Profesję pani Warren”, „Żołnierza i bohatera”, „Kandydę”, „Męża przeznaczenia”, „Nigdy nie wiadomo”. Właśnie wkrótce potem ożenił się, ponoć z miłości, z panną Charlottą Payne-

Townshend. Ale jak tam było z kochaniem się przed czterdziestką? Bo ja wiem, w takich materiałach nurzają się z rozkoszą specjaliści monografiści, przeważnie Francuzi. Wiadomo jednak powszechnie, że Shaw prowadził od lat romantyczną korespondencję z Ellen Terry, będąc gorącym wielbicielem talentu scenicznego i kobiecych wdzięków sławnej aktorki. Z całą tedy konsekwencją mógł zakochać się gdzieś w 1911, czyli dobrze po pięćdziesiątce, w drugiej z kolei gwiazdzie sceny angielskiej, Stelli Beatrice Patrick Campbell.

Właściwie zaczął pisać do niej listy znacznie wcześniej, bo w r. 1899. W tym pierwszym momencie ich kontaktu liczył sobie 43 lata i musiał wyglądać tak nieodparcie zwycięsko, jak na zamieszczonej przez nas wyżej reprodukcji portretu roboty Williama Rothensteina. Był wysoki, wysmukły,

rchliwy, dobrze śpiewał, wspaniale interpretował teksty sceniczne, lecz był jeszcze zaledwie popularnym autorem sześciu sztuk, dynamicznym propagandystą oraz zjadliwym krytykiem muzycznym i teatralnym, podczas gdy pani Campbell, o, pani Campbell jest wówczas u szczytu kariery, króluje w angielskim teatrze, ma 34 lata, jest czarującym zjawiskiem fin-de-siècle'owym!

Tylko że przewaga „pani Pat” nad G. B. S. nie utrzyma się długo...

Korespondencja trwała czterdzieści lat. Listy, przechowywane przez Stellę Patrick Campbell w pudle do kapeluszy, uratowała w czasie drugiej wojny światowej dziennikarka angielska, wywołując je po śmierci aktorki z południa Francji. Młody amerykański reżyser, Jerome Kilty, którego losy wojenne zarzuciły akurat do Anglii, zapoznał się z cennymi listami i posłużył się później ich tekstem do skomponowania sztuki pt. „Dear Liar” („Kochany kłamca”).

Oczywiście sztuka jest fascynująca. Nie mogło być inaczej, skoro jej współautorami są tacy partnerzy, jak wielki Shaw i dzielnie mu sekundująca w dowcipie jego utalentowana „Stella stellarum”. Dialog jest autentyczny, postacie mówią słowami listów. „Intrygę” ułożyło samo życie. Ale nie lekceważmy zasługi Jerome'a Kilty'ego, którą stanowi przede wszystkim pomysł zrobienia utworu dramatycznego w formie korespondencji. Wie romancée w postaci listów, proceder nierzadko praktykowany w powieści, to coś nowego w technice dramatopisarskiej, a zatem i aktorskiej. Listy czytane, grane i komentowane na scenie. „Dear Liar” zaleca się dobrze przemyślaną selekcją tekstów, zresztą nie tylko „epistolarnych”, gdyż dokonano tu także zrzecznej interpolacji fragmentów „Pigmaliona” i „Wielkiego kramu”. Faktura utworu Kilty'ego jest finezyjna. Obydwie postacie — to zarazem narratorzy i bohaterowie, a przejścia od narracji do korespondencji, od korespondencji do bezpośredniego obcowania, te niezliczone zbliżenia i oddalenia zachwycają widza nieskazitelną płynnością.

Z tym wszystkim nie wiem jednak, czy G. B. S. nie zrobiłby Kilty'emu zarzutu, że spłycił nieco jego postać pozbawiając ją prawie całkowicie kwestyj z jakąś treścią ideową. Jest

w dialogach bodaj tylko jedno powiedzenie shawowskie charakteryzujące lapidarnie a ostro stosunek wielkiego dramatopisarza do teatru: „Jeżeli nie potrafisz złączyć w całość stylu gry z dramatem duszy ludzkiej i problemem społecznym, nigdy ci nie przyznam, że dobrze zagrała Eliza czy jakiegokolwiek innego Shawa”. Lecz ta odosobniona uwaga, którą wywoliłam z egzemplarza, przeleciała na scenie niepostrzeżenie, albo też wręcz uległa zagładzie pod ółwkiem reżyserkim.

Niestety, zawartość szczęsnego pudła do kapeluszy jest hen w Anglii i nie mamy dostępu do kompletu listów. Pozostaje więc nam jedynie zgadywanie, czy nie dałoby się wytropić w nim kilku ważkich wypowiedzi o sztuce scenicznego, równie pięknych jak to, co Shaw mówi o wojnie po otrzymaniu wiadomości o śmierci syna Stelli. I równie zalatujących „siarką”? A jeżeli nie, jeśli G. B. S. ograniczył się w listach do spraw romansowych i bieżących teatralnych, no to wtedy... Co wtedy? Ano zapytalibyśmy może, czemuż to odważny Kilty, przepłatający korespondencję scenami ze sztuk, nie skorzystał również ze słynnych choćby przedmów i posłowi Bernarda Shawa? Całkowite powodzenie przeszczerzenia paru sentencji wymagałoby tylko taktu i umiaru, na który niewątpliwie stać autora „Kochanego kłamcy”.

Ale bądźmy wdzięczni za zalety sztuki, do których należy, poza już wymienionymi, świetna charakterystyka psychologiczna permanentnego w gruncie rzeczy konfliktu — w różnych jego fazach. Konfliktu na przemian (albo też jednocześnie) sentymentalnego i intelektualnego. Zaczynając gdzieś od r. 1913 katalizatorem starć staje się coraz wyraźniej trzecia postać, zakulisowa: żona Shawa Charlotta. Pani Campbell jest zazdrosna. Nieomal na złość G. B. S. poślubia baroneta George'a Cornwallis-West. Sprawa jej pretensji znajduje jaskrawe odbicie we wstawionym do aktu II fragmencie „Wielkiego kramu”. Oryntia (czytaj: Stella) zapragnęła gwałtownie, by Magnus-Shaw z nią się ożenił, czyniąc zadość jej miłości własnej. I zdawałoby się, że jego obrazoburczy stosunek do konwencji mieszczańskiej mógł właściwie go skłonić do rozwodu z żoną. Atoli rzecz nie jest tak prosta. Charlotta Payne-Townshend, którą Bernard Shaw poślubił na rok przed nawiązaniem korespondencji ze Stellą, była Irlandką i socjalistką. Poza tym zdała, że tak powiem, egzamin na dobrą żonę pielęgnując pisarza z wyjątkowym poświęceniem przed ślubem i w miodowych miesiącach, gdy osaczyła go seria chorób. A więc wspólne poglądy i zwykła ludzka lojalność łączyła G. B. S. trwale z jego Charlottą, podczas gdy w kontakcie ze Stellą, w tej ich rzecz można nieustającej walce, gdzie nie wszystkie chwytły były fair, następowały raz po raz krótkie spięcia. Zresztą wielki człowiek, tak nieludzko zaorany, mógł po prostu rozsmakować się na stałe w ładzie i komforcie, jaki mu stwarzano w domu pod troskliwym okiem Charlotty... I lat też Stelli przybywało. A G. B. S. chociaż także ich nie ubywało, ale oto gdzieś w r. 1921 zaczyna się jego nowa miłość przez korespondencję, tym razem z 24-letnią Molly Tompkins. I ta wymiana listów trwa z koleją lat dwadzieścia. Biedna Stella! Druga część sztuki przedstawia wymownie tragedię jej zmięczenia.

Twierdzi Jerzy S. Sito w n-rze 14 „Teatru”, że po wyjeździe pani Campbell do Ameryki w czasie pierwszej wojny światowej listy jej i Shawa „stają się wartością samą w sobie, przewyższającą niejako treść przeżyć, które je dyktowały. Udekorowaniem tego procesu — cytując dalej — będzie faza końcowa, kiedy to listy właśnie stają się przedmiotem korespondencji, zaś bardzo dramatyczny akcent pada na ich wartość handlową”.

Trzeba przyznać rację Stelli, gdy pisze: „Twoje listy to pułapka”...z tym zastrzeżeniem, że jej własne listy są także pułapkami. Bo wydaje mi się, że Jerzy S. Sito padł ofiarą owych pułapek, nie dostrzegając psychologicznego podtekstu korespondencji. Wątpię, by istotnie chodziło o handlową wartość listów kobiecie, która nie rozstała się z nimi aż do śmierci. By naprawdę zależało Stelli przede wszystkim na zysku materialnym, jaki można było wyciągnąć z książkami publikując w niej większą ilość listów Shawa. Sądzę raczej, że sedno sprawy było w czymś innym. W r. 1920, kiedy pani Campbell rozpoczyna pertraktacje

cicho od czasu do czasu, jakby jama-nika miał na smyczy, płaczkę swoją. Latarnie też się wylaniały jak milczące ptaki bez skrzydeł przez miasto oberwane, jako znaki świetlne, reklamy potęgi miasta okrutnego. — Ten cały wielki obraz zniszczenia wylaniał się spod wód i to było dla mnie najwięcej niebezpieczne, bo gdzie ja tu miałem najmniejszą miłość wyszukać, ja — ulubieniec.

O, to jest niewypowiedziane. To jest niewymowne. Nieprzemijające to jest. Mijał mnie i jedni się odwracali za mną, a drudzy nie, ale to jest niewymowne moja osobność, moja nienawiść do tego wszystkiego. Ale więcej moja osobność od tego wszystkiego, moje oddalenie od tego epokowe. Nic nie było moje, nic nie było krewne, ze wspólnego drzewa rodzinnego. Ta ulica, ten wiatr przekłety, ten jamnik jego, te domy, ci inni, wszystko — to nie byli moi krewni moi kuzyni, to nie byli, żadna najdaleza familia, jezu. To była inna epoka. I szedłem i chciałem się już zabić, przeżyć do innego świata, do stron przychylniejszych. Do grobowców jakichś rodzinnych. Mijał mnie właśnie jeden, spojrzal na mnie bokiem przy mijaniu, a ja pomyślałem, że gdyby mnie o coś zapytał: którądy droga, czy rozpoczął rozmawianie o czymś, to bym nie umiał mu nic odpowiedzieć, czy bym wiedział, czy nie, żadnego słowa z gardła nie wydusił. Miałem już wtedy za sobą wiele podłych losów i zaczynało się już wtedy moje wielkie milczenie: zamknięcie ust i skupienie serca. Już wcześniej wpadłem na to przy jakichś rozmowach z innymi, że nie umiem się już zupełnie odzywać, że nie umiem rozmawiać ani gadać i że wolę bardzo chętnie nie nie mówić. Albo coś innego: jak ktoś mówił: „Tak, tak. Życie jest ciężkie”, to chciałem taklemu dać w mordę zaraz, żeby już nie pisał więcej. Bardzo podobnie jak ktoś mówił: „Panie, ja przeżyłem okupację, obóz, panie. Teraz to bajka”. Myślałem o tamtym się nie powinno mówić. Nie powinno się w ogóle mówić o wojnie, o tych obozach straszliwych, o tych piecach, bo to jest żerowanie. To jest wielkie profanowanie tamtej ludzkiej krwi. Tak mówię.

Szedłem i chciałem się już zabić i to jest niewymowne ten mój stan uczuciowy na tej granicy wątlej życia i śmierci. Szedłem krawężnikiem i kiedy jechał w przedzie jaki samochód, to nie wiem, jak ja jeszcze żyję. To jest niewypowiedziane ta chwila samochodu przejeżdżającego blisko i to moje napięcie ostateczne, gotowanie się do skoku. Czy ja powinienem o tym mówić? Czy wolno o tym mówić? Tak pytam. Ale powoli uspokajało się wszystko. W coś innego się to wszystko zamieniało. Nie szedłem już chodnikiem, tylko jeździłem samochodem i kiedy coś jechało naprzeciw, to starałem się żeby mnie minęło jak najbliżej, żeby się otarło o mnie. Tak samo jak coś z tyłu jechało, to szedłem bliżej środka ulicy i nie odwracałem się na ruchy jego świateł i wszyscy, kiedy obok mnie przejeżdżali, to zwalniali i krzyczeli przez szybę: „Chcesz, żeby ci zrobił z dupy garaż, gówniarzu?” Ale to już była zabawa tylko. Nie chciałem się już zabić. Bawiłem się tylko. Ale od rozpoczęcia tej zabawy zimno też się rozpoczęło przenikliwe, które przedtem też mnie przenikało, ale cały byłem zajęty tą walką śmiertelną i ona musiała mnie trochę rozgrzewać widocznie.

Jechało coś z tyłu i wyszedłem na sam środek drogi prawie i nie odwracałem się. Słyszałem, jak się zbliżał i widziałem, jak mi daje znaki światłami, bo nie chciał trąbić, bo w mieście nie wolno, zdaje się. Słyszałem, jak hamował. Stanął przy mnie, wyskoczył z wozu i powiedział:

— Chcesz, żeby ci zrobił z dupy garaż, gówniarzu?

A ja powiedziałem: „Chcę”. „Chcę, chcę” — krzyknąłem, bo już cały byłem rozbawiony. On zrobił dwa ruchy głową w lewo i w prawo czy nie ma nikogo i pach mnie w mordę.

KIEDY się podnosiłem on już był daleko, jego czerwone światelka. Krew mi pobrudziła rękę, kiedy dotknąłem wargi. Przejechałem palcami po zębach, ale wszystko było w porządku. Tylko wargę miałem

przeciętą od zęba. Wstałem i oparłem się o pień drzewa i pamiętam, fenomenalna moja pamięć, że nawiedziła mnie, spadła na mnie taka chwila uprzywilejowana: stałem się spokojny nagle niezmiernie: wszystko mnie naraz odeszło: wszystkie napady i sprzeczwy i nienawiści, wszystko, wszystko. Stałem pod drzewem, opierając się. Ssałem wargę. Krew z wargi przeciętej. Nie było mnie zupełnie na tej ulicy wieczornej, nie byłam w tym mieście. Nie było mnie zupełnie w tej epoce przekłetej. Ale nie byłem też gdzieś indziej, w innej epoce, nigdzie nie byłem, wspaniale. Wspaniale. O niczym nie myślałem, ani o śmierci. Odeszły mi gdzieś wszystkie myśli moje natarczywe i zwiewne. Najdalsze siostry powietrzne. Nie myślałem nic, nic. Nie tęskniłem też za nikim, ani za Olga, ani za synem, nie mnie nie bolało w brzuchu od tej wieczystej tęsknoty, ale nie tęskniłem nawet za jakimś łóżkiem na kilka dni, nie mówię już na dwa tygodnie czy na cały miesiąc, czy na całą zimę — to by dopiero było świętowanie, jezu, jezu. Tak: najwięcej czasu, to bym spał, spał, spał. Za wszystkie czasy. Za wszystkie moje niewyspania. Zaraz na drugim miejscu po spaniu to by było śpiewanie na zmianę z nauką jakiegoś obcego języka. A przez resztę czasu bym szukał żarcia, dużo żarcia, żeby się miało co w dużo tłuszczu zamieniać przez ten długi czas spania. Żebym na wiosnę, na lato i na jesień miał coś oddawać przyrodzie i różnym przygodom niespodziewanym. Mogłbym też na zmianę ze śpiewem i z nauką jakiegoś obcego języka spróbować opisać rok miniony; jaki on dla mnie był, jakie miałem w nim zachwylenia a jakie przerażenia, jakich złych ludzi spotkałem — jakich głupich poetów, jakich dobrych ludzi spotkałem — jakich głupich poetów, w ogóle jak mi się szło przez wszystkie pory roku. Mogłbym to spróbować opisać na zmianę ze śpiewem i z nauką jakiegoś obcego języka. A na dworcu, za oknem, śnieg by padał i wiatr by huczał: uu, uu.

Edward Stachura

(Dokończenie na str. 7)

UNIwersytety NA CO DZIEŃ

JERZY KSIĘSKI

Ja, Anna Żywioł, nie umiałam czytać
I nie umiałam pisać. Żyłam ślepa.
Starej kobiecie dano mi do ręki,
Jak dziecku, elementarz, zeszyt, pióro.

Ja, Anna Żywioł, ten list z serca piszę,
Z daleka przesyłając pozdrowienie
Ludowej władzy, która mnie
z ciemności
Wyprowadziła na światło...

Kiedy poeta, natchniony listem
Anny Żywioł, pisał ten wiersz, nie-
obecnie były naszej wsi widoki klas-
szkolnych zapelnionych ludźmi star-
szymi. Dziesięć lat temu jeszcze wieś
polska uczyła się pisać i czytać.

Odległe to już czasy, kiedy spraco-
wane, poorane siecią zmarszczek ręce
przywyczały się do pióra pisząc w
szkolnym, poliniowanym zeszycie ta-
kie mniej więcej zdania: „Wieś lubel-
ska nie może być zadowolona. Trzeba się
uczyć, żeby nam wszystkim było coraz
lepiej żyć i gospodarować”.

Ten kto mieszka na wsi, pracuje na
rolni, prowadzi hodowlę — w dowo-
dzie osobistym w rubryce „zawód”
napisane ma „rolnik”. A więc rolnik
to zawód, tak jak ślusarz, rymarz czy
profesor... Gospodarzyło się na wsi z
dziada pradziada, do pokolenia na po-
kolenie przechodziły doświadczenia do-
tyczące ziemi i było dobrze. Aż tu
nagle kilkadziesiąt lat temu rozpoczę-
to wielką, do dziś dnia trwającą
awanturę, że zawód rolnika wymaga
także gruntownej wiedzy. Powstały
szkoły rolnicze, hodowlane, ogrodnic-
ze...

Plodozmiarn — to drobny zaledwie
wycinek, jak gdyby jeden z dwu-
dziestu pięciu przedmiotów niezbęd-
nych już przy racjonalnym gospodaro-
waniu współczesnego rolnika. A
reszta?

W latach pięćdziesiątych, kiedy na wsi
nikogo dorosłego nie trzeba już było
uczyć czytać ani pisać, coraz szerzej
zaczęto mówić właśnie o zawodzie
rolnika — o konieczności przygotowy-
wania się do tego zawodu.

Wnukowie Anny Żywioł nie mają
dziś kłopotu ze zdobywaniem wiedzy
rolniczej. Już po tak zwanej siedmio-
klasówce można zasiadać w tych sa-
mych szkolnych ławkach — zmieni-
ając jednak szkołę. Będzie to szkoła
przysposobienia rolniczego — podsta-
wowy stopień rolniczych studiów.

W ciągu ostatnich trzech lat —
szkoły te powstawały jak grzyby po
deszczu. Mamy ich obecnie ponad sto
trzydzieści. Pięć lat temu tych dwu-

setnych, a właściwie dwuzimowych
szkół było zaledwie czterdzieści trzy.
Sporo jest dróg, którymi dociera na
wieś oświata rolnicza. Spróbujemy w
kilku zdaniach pokazać te drogi. Roz-
ważania na temat ich olbrzymiego
znaczenia będziemy sobie mogli doro-
wać.

A więc przede wszystkim przy Pre-
zydium Wojewódzkiej Rady Narodo-
wej w Lublinie istnieje specjalny wy-
dział — Wydział Oświaty Rolniczej,
który prowadzi w naszym wojewódz-
twie sieć szkół specjalistycznych, bo
mamy tutaj do czynienia ze ściśle
określonym kierunkiem nauczania: lą-
karstwo, chmielarstwo, mechanizacja
rolnictwa, pszczelarstwo. Ogółem ab-
solwenci dziewiętej klasy mają do
wyboru jedno z trzynastu techników
specjalistycznych typu rolniczego. W
ciągu pięciu lat zgłębia się podstawo-
we tajniki wiedzy rolniczej, ale nie
tylko rolniczej. Gdyby komuś przy-
szła ochota zapisać się do takiego
technika po maturze, zdobędzie wy-
brany zawód po dwu latach.

Obok techników Wydział Oświaty
Rolniczej prowadzi także roczne
i dwuletnie szkoły rolnicze. Zadania
tych szkół są proste: rozwijanie szer-
szych zainteresowań nauką rolniczą, a
także zdobycie przez młodzież podsta-
wowych wiadomości i umiejętności nie-
zbędnych do pracy w gospodarstwach
rolnych uspołecznionych, indywidual-
nych oraz do pracy w instytucjach
społeczno-gospodarczych. Rzecz jasna,
że absolwenci tych szkół przygotowu-
ją się tam również do udziału w życiu
kulturalnym i społecznym wsi. Oze-
niono bowiem już na zawsze oświatę z
kulturą.

W ciągu ostatnich trzech lat roc-
ne i dwuletnie szkoły rolnicze zakla-
dano we wsiach nieraz bardzo odleg-
łych od miasteczek powiatowych. Za-
kładano je przede wszystkim tam,
gdzie do tej pory wsi nie przejawia-
ły żadnej działalności — ani oświato-
wej, ani kulturalnej.

Byliśmy więc świadkami ważnego
procesu. Procesu powstawania zawo-
du rolnika z wyboru. Wyłumaczono
mi to jasno na prostym przykładzie.
Rolnik, gospodarz dwuhektarowego
gospodarstwa chcąc utrzymać trzech
swoich synów w zawodzie powyprawa-
ł ich do szkół. Synowie zdobyli
specjalizację: weterynaryjną, rachun-
kowość rolną i wodno-melioracyjną.
Wszyscy trzej są rolnikami, chociaż
żaden z nich nie posiada ziemi, na
której nadal gospodaruje poczciwy
tato.

Poważny procent młodzieży wiej-
skiej po ukończeniu techników rol-
niczych wybiera się na studia wyższe,
kierując się świadomym wyborem
zainteresowań. Dlatego właśnie coraz
więcej mamy na lubelskiej wsi ma-
gistrów i inżynierów, rolników z dy-
plomami.

Alle uniwersytety istnieją nie tylko
w odległych dużych miastach. Anna
Żywioł, która przy swoim szóstym
krzyżku nie zdecydowała się na
studia w Lublinie, czy w Warszawie,
może kształcić się dalej u siebie w
swojej rodzinnej wsi. Lubelskie ma

Wojna, ludzie i medycyna

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

TRUDNO doprawdy o lepiej do-
brany tytuł niż ten, którym dok-
tor Majewski opatrzył swoje
wspomnienia. Te trzy krótkie słowa
są jednocześnie najbardziej skróto-
wym streszczeniem dwóch grubych
tomów, jak też i w pewien sposób ich
charakterystyką. Wspomnienia są jak
tytuł: zwięzłe, lapidarne, a jednocześnie
pełne treści. Doktor Majewski pi-
sze jedynym, żołnierskim stylem. Nie
ubiera myśli w piórka zbędnych
przymiotników, unika patosu i sztucz-

ności. Może właśnie dlatego opisy
przeżytych przezeń faktów znajdują
niezwykle żywy oddźwięk w wyobraź-
ni czytelnika.

Wojna — jest w tym wypadku
oczywiście naszą światową Nr 2.
Wspomnienia A. Majewskiego rozpo-
czynają się jej wybuchem, a kończą
mniej więcej w rok po klęsce Nie-
miec. Autor opisuje tylko te fragmen-
ty ostatniej wojny, w których bezpo-
średnio uczestniczył. Jest ich zresztą
tak dużo, że sprawiają wrażenie opis-
całości wydarzeń z lat 1939—45. Dr
Majewski na swoje szczęście czy nie-
szczęście (Chińczycy używają podobno
przekleństwa: „obys żył w ciekawych
czasach”) brał — z konieczności
zresztą dość bierny — udział w kam-
panii wrześniowej, zażył pełnego
przygód życia na Węgrzech i w Jugo-
sławii, by pierwszy etap swej wę-
drówki zakończyć w Armii Polskiej
na terenie Francji. Dalszy etap tu-
laczki, rozpoczęty po klęsce Francji,
wypełniony był pobytom w Anglii,
podróżą na Bliski Wschód i przygo-
towaniami do kampanii włoskiej.
Trzeci, ostatni i najciekawszy — to
walki we Włoszech oraz ich szczyto-
wy punkt — Monte Cassino.

Oczywiście nasz lubelski Odyszeusz
wszystkie te wędrówki podejmował
nie jako turysta, lecz jako żołnierz,
jako jeden z pionków na wojennej
szachownicy stąd też ludzie (dru-
gie słowo tytułu), których spotykał,
byli z natury rzeczy przede wszyst-
kim żołnierzami. Najwięcej, rzecz jas-
na, miejsca w książce zajmują armie
polskie. Autor polskie sprawy wojsko-
we opisuje jasno, obrazowo i wnikli-
wie — po prostu nasuwa pewne
wnioski.

Wojsko polskie, w którym służył dr
Majewski w ciągu ośmiu lat, nie by-
ło bynajmniej tworem jednolitym —
takim samym w roku 1945, jak i w
1939. Przeszło ewolucję, która całko-
wicie zmieniła jego oblicze, prze-
kształciła organizację, oficerów, żoł-
nierzy — jednym słowem wszystką
Armią z września 1939 r. to w opisie
autora (zgodnym najzupełniej z rze-
czywistością) oddziałki piechoty wło-
kące się z trudem po zatoczonych
konnymi taborami drogach, słabo
uzbrojone, opuszczone przez wyższych
oficerów — mimo bohaterskich prób
oporu rozbite i wycofujące się, często
w nieładzie, za granicę. Zupełnie od-
mienny obraz przedstawia II Korpus,
z którym dr Majewski walczył we Wło-
szech. Całkowicie zmotoryzowane, no-
woczesne wojsko o dużej sile ognia,
świetnie zorganizowane i bogato za-
opatrzone, nie może być nawet zesta-
wiane z tymi samymi ludźmi sprzed

już osiemdziesiąt jeden takich lokal-
nych uniwersytetów — uniwersyte-
tów powszechnych. Prowadzi je To-
warzystwo Wiedzy Powszechnej, a
program układają sami słuchacze.

Żeby Uniwersytet Powszechny mógł
powstać, musi być minimum czterdzie-
stu słuchaczy. Pomnóżmy: osiemdzie-
siąt jeden razy minimum... trzy tysią-
ce dwustu czterdziestu ludzi cieka-
wych wiedzy, ludzi chcących lepiej
gospodarzyć i kulturalnie żyć.

Słuchaczami uniwersytetów pow-
szecznych są przeważnie ludzie starsi.
Właśnie ci, którzy w czasach swojej
młodości nie mieli szkół przysposo-
bienia rolniczego, techników rolni-
czych, ani rocznych czy dwuletnich
szkół rolnych.

Pierwsze — działające do dziś uni-
wersytety powszechne powstały we
wsiach: Wilkołaz, Chmielów, Małoch-
chwiej, Komarów, Łomazy... Tych,
które założono ostatnio nie sposób wy-
liczyć jednym tchem.

Słyszałem, że dzieci w szkołach pod-
stawowych w ten sposób często uspra-
wiedliwiają się przed nauczycielem:
— a bo, proszę pani, nie odrobiłem
zadania, bo dziadek zabrał mi pióro i
poszedł na uniwersytet...

Gdybym był nauczycielem, nie po-
stawiałbym takiemu malcowi dwól. Ra-
czej podarowałbym dziadkowi ładne
pióro. Kto wie, może jeden z tych
dziadków napisałby pamiętnik swego
życia, w którym niejedna karta była-
by prawdziwym dokumentem świad-
czącym o oświatowej rewolucji.

Uniwersytety powszechne nie pro-
wadzą zajęć codziennie. Byłoby to nie-
możliwe ze względu na obowiązki wo-
bec pracy. Ale w ciągu trzydziesto-
kursu dwa razy w tygodniu po czte-
ry godziny prowadzą swoich słucha-
czy drogą ciekawej wiedzy w coraz
ciekawsze życie.

Gdyby Anna Żywioł list swój pi-
sała dzisiaj, byłby on trochę inny. Bo
choćby z tej samej szkolnej ławki, ale
ale o wsi bogatszej, rozumniejszej.
Jedynie zakończenie byłoby to samo.

Widzi mi się

POETA — BRAT POETY

Z zaciekawieniem i przyjemnością przeczytałem
ostatnim n-rze „Kamień” felieton M. De-
reckiego „Bibliofil”. Wpiew jednak jest ktoś
w Lublinie, kto pamięta „Śpiew w ciemnościach”,
kto ma tę książeczkę w swojej bibliotece, kto po-
trafi zacytować wiersze Przysieckiego! Prawda, że
to człowiek starszej generacji.

Alle oto inna niespodzianka: w n-rze 14 „Współ-
czesności” Janusz Maciejewski w artykule „W sprawie
estetyki form kalekich”, zastanawiając się nad zróż-
dzeniem tendencji najmłodszej naszej poezji do tematyki
„dnia codziennego”, każe ich szukać m.in. u Ludwika
Marii Staffa. Nazwisko z tymi imionami wymienienia
obok głośnych nazwisk Leśmiana, Żegadłowicza, Tu-
wima i Gałczyńskiego. A więc i ten poeta nie uległ
całkowitemu zapomnieniu i tym razem przypomina
go ktoś z młodych.

A poeta to oryginalny i gdyby nie przedwczesna
śmierć w dwudziestym czwartym roku życia, kto
wie, czy w literaturze naszej nie stanąłby obok sław-
nego brata, który go swą wielkością zupełnie przy-
ćmił. Bo gdy o Leopoldzie wiedzą wszyscy, mało
kto pamięta, że był i Ludwik.

Właśnie w tym roku przypada 45-lecie śmierci
młodego poety, spoczywającego na cmentarzu zako-
piańskim. Dwutomowa powieść „Grzeszne gołębie”,
nowele „Dwie pieśni”, i zbiór poezji „Zgrzebna
kantyczka” to nawet, jak na przedwczesny zgon
autora, dorobek niemały. Gdy pisał swe wiersze,
starszy brat jego był już poetą dojrzałym i miał
w swym dorobku kilkanaście książek. Ludwik Maria
prawie że nie ulegał jego wpływom, czasem tylko
poeta u niego wytrópił ślady refleksyjności brata.
Poeta zresztą był świadom swej oryginalności, skoro

w „Inwokacji krzykliwej i rubasznej” stwierdza: „Ni-
czyjjej ja tam krowy podstępnie nie doję I na cudze
pastwiska nie pędzę swych krow” i zapowiada: „W-
blaszki lśniące ni w dzwoniaki lutni swej nie stroję.
Czytelatura celem jest dla pustych głów; Ale to co
wam daję, wiedzcie, że jest już moje”.

I jego jest rzeczywistość. Jego jest ta przedziwna
prostota i szczerść wierszy jeszcze raz dowodząca,
że to, co jest najprostsze, najpiękniejsze jest zaraz-
em. Jego jest ten głęboki smutek, tym smutniejszy,
że przeżywany przez młodzieńca. Jego jest ta odtra-
cona miłość do tej, której oddał wszystko, „co miał
niegdyś swojego”, a która jak i inni, „którzy wierzyli”
wci, „też zwątpiwszy w końcu odeszła... ostatnia”.

I wtedy poeta w wierszu „Pogrzeb szczęścia” zapra-
sza wszystkich „dobrych przyjaciół” na stypę, którą
odprawia „na gruzach swego szczęścia”. W „trumnę
sosenową” wrzuca „darowiznę kwiatów pamiątkową”
i każe ją „pochować pod płytą z krzyżem marmu-
rową”.

A gdy wreszcie pójdziecie i sam się poczuje,
Zapomnieć będę starał się z kielichem w dłoni
Te, co mi nigdy kwiatów już nie ofiaruje,
Która innym już ustom całować nie broni
I którą w swej samotni gorzko oplakuje.

Smutek i rezygnacja. Smutek przebiega zresztą
z każdego prawie wiersza. W przeczcuciu może bliskiej
śmierci rodzą się przedziwne o niej strofy. Ma ona
być lekarstwem na wszystkie zawiedzione nadzieje.
„Błogosławiony bądź mi, który jeszcze czekasz!” —
wola poeta. Bo on już nie czeka na nic. Bo on „szczę-
ście od siebie odpycha wzgardliwie” i do tego, co jesz-
cze o życiu nie zwątpił, powiada: „Pójdź, nauczę cię
czekać cierpliwie swej śmierci”. Bo „co się za życia
stać nie może, to się po śmierci stanie”.

Trudno określić ten nieuchwytny, choć z pewnością
trujący czar, jaki bije z wierszy „Rozmyślanie
o śmierci”, „Powrót do życia” czy „Marzenie o wios-
nie”. Śmierć jest taka piękna, da wszystko, czego nie
da życie. Ale i życie kusi czasami. I na pozór odbie-
ga od innych wierszy taka „Pokusa”, niby pogodna

i słoneczna, myśl o morzu, o plaży, „egzotycznych
agawach i piniach”, o „cudownych nazwiskach na szyl-
dach”. Ale to tylko marzenia chorego, który jednak
rychło wraca do rzeczywistości:

Fantazjo, milcz i nie kuś włóczęgowską zwrotką!
Tu, orliczko, masz klatkę z mocnymi prętami.
Byś się nie rozbujała po przestworach słodko,
Bo pono, latawico, bratasz się z wichrami...

Kiedyś to były naprawdę podróże, Adriatyk i „flasz-
ka Falerna, złotego trunku, który pił boski Hora-
cy”. Kiedyś oglądało się „słońca czerwoną blask na
Palatynie” i chodziło się „na ewangelicki shelleyow-
ski cmentarz”. Dziś jest inaczej. Dawna dusza umar-
ła:

Dziś jest insza, znająca co są niepokoje...
Jakże pogodna była osiemnastolatka,
Jak ciemna ta, co liczy lat dwadzieścia troje!

Dziś można tylko oczekiwać śmierci. — tej, co
zrówna „lotrów i aniołów”, tej, która przyszła wresz-
cie wyzwolić gruźlika. W ostatnim, bodajże najpięk-
niejszym wierszu „Przeczcucie pożegnania” poeta żegna
życie i wita nadchodzącą śmierć:

Ta noc powie mi więcej, niż mi powiedział
Wszystkie dni mego życia strawionego w trudzie.
I odtąd będzie bratem moim wszechświat cały.
Gdy już się braćmi mymi przestaną zwać ludzie.

Pójdę, skąd się nie wraca. Dziś. Wiem: dziś przed
świtem.

Ktoś dobry, miłosierny spełniając uczynek,
Zamknie mi zgasłe oczy i westchnąwszy przytem,
Pocznie odmawiać z cicha „wieczny odpoczynek”.

Milczcie: wiem i nie płaczę, choć twarz mam
tak białą,
Znam prawdę, jakbym w przyszłość utkwil wzrok
proroczy:

Słońce się dziś tak ze mną serdecznie żegnało,
Jak z tymi, co na wieki mają zamknąć oczy.

X. Rovay

pięciu lat. Dość powiedzieć, że żołnierze polskiej piechoty we Włoszech potrząsali jak na przeżytek minionej epoki na resztki konnicy... niemiec-epoki a sami uważali za nienormalną kłódkę bez wsparcia czołgów i dużych ilości ciężkiej artylerii. Zresztą i sallowi ciężcy zmienili. Polski chłop, mi ludzie zwiędli kawał świata, nie jed- który zobaczył i zrozumiał, nie był już no zrekrutował sprzed Września, całkow- rekrutem od kasty zawodowych cie zależnym od kasty zawodowych oficerów. Na podstawie omawianych oficerowie się zmienili, oczywiście oficerowie. Przede wszystkim duży ich procent stanowili rezerwiści mniej przesiąknęci manierami przedwrześniowej kasty zawodowców i przez to bliżsi żołnierzom. Co do zawodowców, to w liłli zostały najwartościowsze jednostki, a całe legiony legionistów i ich akolitów ze szlifami pułkowników obrastały w piórka na tyłach, obsia- dając tłumnie posady, posadki i tuiste synekury.

Wśród wielu zagadnień dotyczących zych i dobrych stron armii polskiej na zachodzie Majewski porusza też dosyć charakterystyczny problem: orga- nizację kawalerii pancernej. Autor wspomnień podkreśla kilkakrotnie, w jak dodatni sposób polscy ułani po- trafili połączyć dawne kawalerskie tradycje z nowymi metodami i środ- kami walki, których symbolem stał się czołg, a nie jak ongiś koń. Tak się złożyło, że dr Majewski m. in. służył jakiś czas w „Czarnej Brygadzie” (10 Brygada Kawalerii Pancernej utwo- rzona kilka lat przed wojną jako je- dyna tego typu jednostka) szczególnie bliskiej mieszkańcom Lublina ze względu na to, że w skład jej wcho- dził 24 pułk białych ułanów lubelskich stacjonowanych przed wojną w Kra- śniku. Dziesiąta Brygada, przekształco- na później w I Dywizję Pancerną, by- ła bodaj najbardziej zasłużoną w wal- kach wrześniowych jednostką W. P. Później walczyła we Francji w roku 1940 i 1944, w Belgii, Holandii i w Niemczech. Inne jednostki kawalerii pancernej, z którym stykał się dr Majewski zasłużyły się szczególnie pod Monte Cassino (12 pułk ułanów podolskich zatknął polską flagę w zdobytych klasztorze).

Opis walk o Monte Cassino — zaj- mujący prawie połowę II tomu oma- wianej książki jest jej najlepszą częścią. Z całości wspomnień wyróż- nia się jeszcze większą dynamiką, bezpośredniością i dużą dramatycz- nością opisu. Nie ubliżając Wańkowic- zowi, powiedziałbym, że relacja Ma- jewskiego jest jaśniejsza, o wiele bar- dziej szczerą i na pewno bliższą prawdy w szczegółach, a zwłaszcza w odtworzeniu atmosfery walk. Majew- ski zresztą opisuje także swoje zetknięcie się w szpitalu z Wańkowic- zem, zbierającym materiał do książki w dość, trzeba przyznać, zaskakujący i nieoczekiwany sposób.

Szpitałe, ranni i krew zmuszają do wymienienia trzeciego słowa tytułu omawianych pamiętników: medycyna. Słią rzeczy autor jako lekarz sprawom organizacji służby zdrowia

w wojsku poświęca wiele miejsca oraz wiele bardzo interesujących (nawet laika) opisów i spostrzeżeń. Oczywiście jest to przede wszystkim bardzo cenny materiał dla historyka medycyny (tu przypomina się nieodżałowa- nej pamięci dr Klukowski, który pie- czołowicie z każdego czytanego pa- miętніка wynotowywał fakty dotyczą- ce lekarzy), głównie medycyny woj- skowej. Ale — jak już wspomniałem — i profan może dużo skorzystać, ja- ko że autor pisze o tych sprawach przystępnie, zrozumiale i interesująco.

Książka dr Majewskiego wydana jest starannie; ma ładną czcionkę, estetyczny układ graficzny i bardzo udaną, pełną ekspresji obwołaną projektu J. Łukawskiego. Należy zało- żyć, że Wydawnictwo nie wykorzy- stało do zilustrowania książki zbior- ów fotografii autora. Miejmy jednak nadzieję, że brak ten zostanie napra- wiony w następnym wydaniu, na któ- re na pewno nie będą długo czekać liczni w naszym mieście miłośnicy dobrej literatury pamiętnikarskiej.

Bohdan Królikowski

Po nabyciu przez ojca części Jaro- sławca w powiecie hrubieszowskim przeniosła się tam wkrótce cała rodzi- na przyszłego poety. W Jarosławcu też upłynęło jego dzieciństwo. Smutne to było dzieciństwo! Wychowaniem pię- cioletniego zaledwie Karola i jego ro- dzzeństwa, wcześniej osieroconego przez ojca i matkę, zajęła się babka, pani Orian. Ukończywszy szkołę w Hrubie- szowie przenosi się Baliński do li- ceum w Warszawie. Tu rozpoczyna się dalszy ciąg jego tragicznego żywota. In- cydent szkolny, w którym władze car- skie dopatrzyły się politycznego prze- stępstwa, staje się przyczyną pierw- szego pobytu 16-letniego chłopca w więzieniu. Dalsze losy stają się już pasmem nieszczęść wynikłych z nie- doli ojczyzny i osobistych tragedii poety.

Za udział w ruchu spiskowym Sto- warzyszenia Ludu Polskiego zostaje Baliński w 1839 roku zesłany na Sy- bir, do Iszymia, w stepach kirgiskich. Olbrzymiej męki tęsknoty poety za krajem i rodziną nie wynagradzała ani obfita lektura książek, ani systema- tyczna korespondencja. Wiadomości od braci przychodziły rzadko. A jak on czekał na te listy! Jakże wymow- ne jest zdanie: „Listu od Was oczek- kuję ze zwykłą niecierpliwością, z ja- ką się oczekuje szczęścia”. (Cyt. za J. Korpałą „Twórczość” 1948 zes. 5, s. 66). Po powrocie do kraju wiosną 1842 r. razi go boleśnie utrata narze- czonej. Powodem jej odejścia były bliźni na twarzy pisarza — ślady działania sybirskiego mrozu.

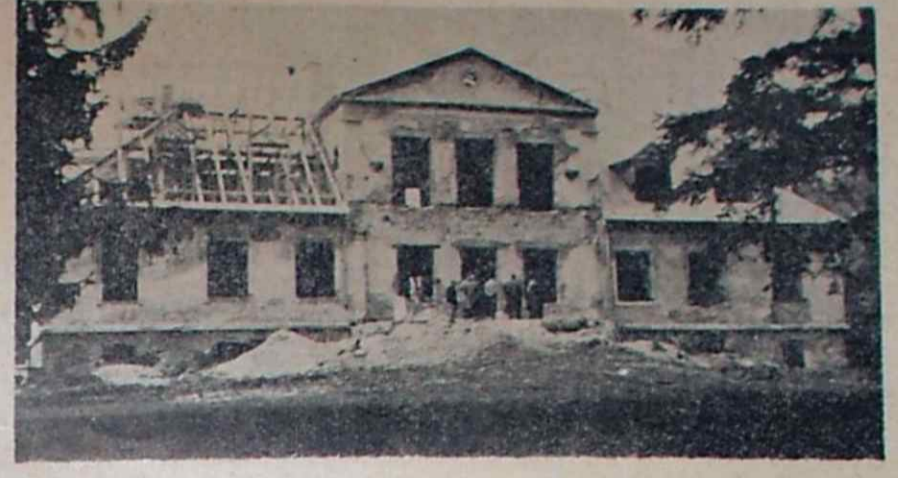
Lata 1843—1844 spędził Baliński ko- lejno to u braci w Jarosławcu, dokąd w wędrownych swych bardzo często powracał (stąd pseudonim: Karol z Jarosławca) i gdzie powstało wiele jego wierszy, to w Warszawie, gdzie zbliżył się do grona entuzjastów i en- tuzjastek skupionych wokół „Prze- glądu Naukowego” Hipolita Skimboro- wicza. Tu także poznał nasz poeta Narcyzę Zmichowską, która pisząc „Pogankę” scharakteryzowała go we „Wstępny obrazku” jako Edmunda — mistyka.

W roku 1844, w „Bibliotece War- szawskiej” opublikował Baliński wiersz, który natychmiast zjednał mu wielką popularność. Był to „Farys wieszcz”.

Wkrótce potem osadzony w Cytade- li, zostaje po odczytaniu mu kilku ko- lejnych wyroków zwolniony rychło ze względu na bardzo zły stan zdrowia. W roku 1848 działa już we Lwowie wespół z K. Szajnochą i K. Ujejskim. Po klęsce radosnego choć krótkiego zrywu udaje się do Poznania; tu w roku 1849 wydaje swe „Pisma”, mały tomik wierszy, napełniony ogromnym ładunkiem uczucia, patriotyzmem i wiarą w odzyskanie wolności. Jest to plon 10-letniej twórczości, a zarazem pozycja w dorobku poety na najwię- kszą zasługującą uwagę. Następnie przez pół roku redaguje tygodnik „Krzyż i miecz”. Drukuje tam arty- kuły przeważnie treści mistyczno- religijnej. Wyjazd do Paryża i zbliżenie się do koła towarzyszyków z Mickie- wiczem na czele jeszcze bardziej wpłynęły na dokonanie się wewnę- trznego przełomu w pisarzu, co odbi- ło się także na jego twórczości. Prze- żył tam lat dziesięć. Tymczasem wy- buch powstania styczniowego wezwał ciągle pełnego nadziei poetę do kraju. Czujna, natychmiastowa reakcja na wszelkie wydarzenia polityczne była jego cechą charakterystyczną. W kraju — przez pewien czas wydaje pismo „Wolność”, zajmuje się rannym bra- tem, ale sam wyczerpany i schorowa- ny umiera wkrótce: 10.I.1864.

DLA KULTURY

(Dokończenie ze str. 3) - reprezentacyjna barokowa bóżnica we Włodawie, zamiebnana w okresie wielu lat użytkowania przez magazyny GS, nadaje się po adaptacji



Początek odbudowy dworu w Romanowie (pow. włodawski)

Henryk Gawarecki

HISTORIA PEWNEGO OCZAROWANIA

(Dokończenie ze str. 5)

z wydawcą, ma już ona pięćdziesiąty rok, w jej powodzeniu scenicznym następuje nieuchronne diminuendo. Nie byłaby sprytną aktorką i mądrą kobietą, gdyby się nie chwyciła sposobu, który mógł odświeżyć zainteresowanie publiczności jej osobą, jako przedmiotem uwielbienia coraz bardziej znakomitego — ściśle mówiąc już od dawna światowej sławy pisarza. A Bernard Shaw? Cóż, pazelizm, że tak powiem, nie był w jego guście. Młody do ostatniego technienia, żył zawsze dniem dzisiejszym i przyszłością, mie- rziło go zapewne odgrzewanie zje- dczonych przeżyć i publiczne ukazywa- nie się w roli romantycznego kochanka. Jaka ciekawa i przejmująca gra uczyć — gdzież tu merkantylizm!

Przy okazji jeszcze jedna notka na marginesie recenzji „Teatru”. Nie rozumiem, dlaczego Jerzy S. Sito poświęca 1/3 swej oceny rozważaniom nad rzekomo wadliwym przekładem tytułu „Dear Liar” stał się nagłówek listu? I jeżeli tak, to dlaczego „dear” nie ma być przetłumaczone na „ko- chany”, skoro większość listów rozpo- czyna się per „Kochanie” („Darling”). A może jednak jest zgola inaczej i „Dear Liar” wiąże się z fikcyjnym tytułem Intermedium zapożyczanego z „Wielkiego kramu”, które to Inter- medium stanowi niejako syntetyczną charakterystykę drugiej fazy stosun- ków Stelli i Shawa. Tytuł ten został wręcz wymieniony w odpowiednim miejscu tekstu Kilty’ego. A w takim razie stosujemy pierwszy przypadek i w konsekwencji — trzeba by powie- dzieć „Kochany Igarz” (skoro J. S. Sito woli „Igarz”), co fonetycznie brzmi, na mój smak, gorzej niż „Ko- chany kłamec”.

WIDZIAŁAM „Kochanego kłamec” po raz pierwszy w Teatrze Współczesnym w Warszawie, gdzie grał: Antonina Gordon-Górecka i Andrzej Łapicki, a po raz drugi

na salę wystawową, bibliotekę, mu- zeum, klub. Wszystkie te instytucje znajdują z łatwością pomieszczenie w ob- szernym powierzchniowo obiekcie.

Odbudowa wymienionych zabytków znajduje się w planach Wydziału Kul- tury PWRN w Lublinie, ale realizacja uzależniona jest od współdziałania władz miejscowych. Dlatego tak cen- na jest inicjatywa terenu we wszel- kich poczynaniach w tym zakresie służby konserwatorskiej.

w Lublinie, w gościnnym wykonaniu Ireny Eichlerówny i Władysława Hańczy.

W obu wypadkach gra była, jak to się mówi, koncertowa i rada bym posłuchała obu „koncertów” jeszcze kilkakrotnie. Czemu jednak wołę pierwszy od drugiego? Chyba dlatego, że nawet przy najwybitniejszych indy- widualnościach aktorskich dobry re- żyser ma wszak coś niecoś do powie- dzenia. Zwłaszcza w tak subtelnej sztuce, gdzie nie wolno zacierać zmiany czasu ani zatracać poczucia odległości przestrzennej, kiedy ma być zaakcento- wana.

Poza tym — poza tym podoba mi się specjalnie w interpretacji Łapic- kiego umiejętnie zamaskowanie męskiej pasji G. B. S. jego „akrobacją słów”, — jak najbardziej uzasadnione podej- ście do roli, skoro postać mówi expressis verbis: „Chciałbym cię ko- chać, Beatricissima, tak, by nikt o tym nie wiedział”. Wydaje mi się też, że ze wszech miar słuszną jest wstrze- mięźliwość Gordon-Góreckiej, oszczęd- ność jej ruchu i gestu, szczególnie w akcie I. Natomiast prawdziwą uczta były celne riposty Eichlerówny, uwytatniające w pełni dowcip i sar- kazm dialogu aktu II, a niejedną wybuch intelektualnego temperamentu G. B. S. w wykonaniu Hańczy sprawiał dużą satysfakcję.

Tak czy inaczej dobrze się stało, że Aleksander Bardini dźwierzł w Teatrze Współczesnym ster „Kochanego kłame- cy” i odwrotnie trochę niepokojącym objawem wydało mi się przykrycie nazwiska reżysera Jana Kulczyńskiego na lubelskim afiszu wielkim nadru- kiem — „Tylko 2 razy”.

Proszę mi wybaczyć jeszcze drobną uwagę końcową. Otóż zdawałoby się, co w takiej sztuce kotarowej ma do roboty scenograf? A jednak Władysław Daszewski potrafił dodać ładny akord do koncertu dobrze dobranym fotelem, biurkiem, pulpitem... Czy trzeba mówić, że „scenografia” rekwizytora naszej Operetki nie wytrzymała takiej kon- kurencji?

Należy również żałować, że widzowie lubelscy nie dostali do rąk programu, przewodnika po sztuce nie łatwej do recepcji w Lublinie wakacyjnym.

Ostateczną kropką mojej impresji teatralnej jest życzenie, żeby obydwie pary świetnych aktorów pokazały swój kunszt Lublinowi w sezonie, Lublinowi nie ogołoconemu z tzw. kwiatu inteligencji i młodzieży akade- mickiej. I oby jak najrychlej znalazła się do „Kochanego kłamecy” jeszcze trzecia para i czwarta, bo chciałabym zobaczyć np. Shawa-Swiderskiego i Shawa-Balcerzaka...

Maria Bechzyc-Rudnicka

Poeta przypomnienia godny

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

„A pieśni moje przyjmijcie, proszę Was tak jak je pisałem — to jest ser- cem bo prawdziwy Polak cenię serce nad wszystko” — powiedział przed la- ty w przedmowie do swych „Pism” autor słynnego niegdyś utworu pt. „Farys wieszcz”, Karol Baliński.

Współcześni poeci przyjmowali je- go wiersze sercem istotnie i to sercem pełnym entuzjazmu i zachwytu. A my? Pytanie nieco zaskakujące. Być może na nie odpowiedzieć, musimy zastano- wić się czy „pieśni” te, tak gorąco po- lewane przez ich autora, wytrzymały próbę czasu, ale przede wszystkim musimy przypomnieć postaci ich twór- cy.

Karol Baliński urodził się 21.V.1817 w Dzierzkowicach (pow. kraśnicki) na Lubelszczyźnie. Ojciec jego, Tomasz, był lekarzem legionów Dąbrowskiego w Hiszpanii, potem w wojsku rosyj- skim w Królestwie, matka Maria Orian — pochodziła z Madrytu.

(Dokończenie na str. 8)

NOTY

WCALE NIE OGÓRKOWO przedstawia się nr 30 „Przeglądu Kulturalnego”. Służność ma Holuj pisać w n-rze 31 „Życia Literackiego”, że druga część pamiętników Putramenta „Pół wieku” to pasjonująca lektura. Od znalezienia się pisarza we Lwowie, poprzez ucieczkę z tego miasta na wschód po agresję hitlerowskiej i różne perypetie w drodze do Kijowa, a później do Moskwy, z niesłabnącym zainteresowaniem czyta się te wspomnienia uwieńczone ostatnio artystycznym i wymownym w swej dramatycznej plastyce opisem „nocy moskiewskich” podczas nieprzyjacielskich nalotów. W tym samym numerze „Wieczór z Fidelem Castro” Brezy, zamykający cykl jego reportaży z Kubę, i bardzo, bardzo słuszny artykuł Walerego Goetla „Na zakopiąński alarm”, upominający się o racjonalną, sensowną rozbudowę Zakopanego. „Jak najlepiej urządzić, ale bez znamion życia środowisk wielkomiastowych i przemysłowych”.

OTRZYMALIŚMY książkę Sciapana Aleksandrowicza „Staronki bratniej drużby” (Mińsk 1960), zawierającą zbiór artykułów na temat związków literatury białoruskiej z polską, rosyjską i ukraińską. Czytelnika polskiego zainteresują tu najbardziej artykuły: „Janka Kupala i literatura polska”, „W. I. Dunin-Marcinkiewicz i krytyka polska” oraz „Nowe szczegóły o F. Bohuszewicz”.

DLACZEGO NAWET DOBRY TOWAR MUSI MIEĆ BRAK! Ten dobry towar to poemat Romana Sliwonika „Słucham was uważnie” (nr 13/93 „Współczesność”), a brak w nim bardzo poważny: w „wieczorze słodnym” tego utworu występuje barbarzyńska forma imiesłowu: u wierząc (sic!). Uwierzyło to czasownik dokonany. Można powiedzieć tylko: uwierzywszy albo wierząc.

W ZWIĄZKU Z ARTYKULEM „PRASA NAD UHERKA”, zamieszczonym w poprzednim n-rze „Kamenu”, możemy uzupełnić informacje p. Andrzeja Piwowarczyka, dotyczącą tajemniczego dodatku „Kurierza Porannego”, wydanego w Chełmie 25 września 1939. Dodatek ten zredagowali przebywający przedtemi w skutek działań wojennych w Chełmie dziennikarze, współpracownicy „Kurierza Porannego” — p. Krukowski (brat humorysty — Lopka) i p. Gacki. Wiadomości były częściowo zaczerpnięte z radia, a przeważnie „ku pokrzepieniu serc” wyśnawane z optymistycznego pałca.

„CZARNY ŚWIĘTY” — oto tytuł poematu greckiego poświęconego pamięci Lumumbi. Utwór ukazał się w Atenach i autorem jego jest poeta grecki Janis Ritsos.

ZNALAZŁ SIĘ AMATOR... Holenderski pisarz Denessen został oskarżony przez F. Sagan o popełnienie plagiatu. Na rozprawie sądowej w Utrechcie stwierdzono, że istotnie przy pisaniu swej książki posłużył się „Pewnym uśmiechem” Saganki. Za ten uśmiech musiał zapłacić wydawnictwu francuskiemu tysiąc guldów.

-kaj-

III KONKURS »KAMENY«

pod hasłem

»WIEDZA POMAGA W ŻYCIU«

W KRATKI diagramu należy wpisać litery tak, aby czytając litery w kolejnych rzędach poziomych otrzymać fragment poetycki. Kratka zaciemniona oznacza koniec wyrazu (z ewent. znakiem przestankowym). Do odgadnięcia poszczególnych liter (są one oznaczone nr nr od 1 do 178) służą wyrazy pomocnicze (28 oznaczonych lit. A — Ch), w których litery zastąpić literami. W wyrazach pomocniczych jest ta sama ilość liter, zaszyfrowanych liczbami, co w diagramie, przy czym odpowiednim liczbom odpowiadają te same litery (zamienniki nie powtarzają się). Pierwsze litery odgadniętych wyrazów pomocniczych, czytane kolejno (z góry na dół) dadzą imię, literę drugiego imienia i nazwisko poety pol. (ur. w 1965 r.) oraz tytuł jego wiersza, którego fragment odczytamy z diagramu. W diagramie obok liczb podano litery, określające wyraz pomocniczy, w którym dana liczba znajduje się, oraz dia ułatwienia, podano kilka liter (w, u) na właściwym miejscu i znaki pomocnicze liter pochodnych (a-a, s-s).

Wyrazy pomocnicze:

- 1-47-28-42-43-11-96-25-21-86-18-30 — Polski tytuł „Canzoniere” F. Petrarci.
- 7-41-65-70-66-139-117 — liryk rzymski, autor „Metamorfoz” (bez z na końcu, ale przez w w środku).
- 56-63-167-36-26-34-106-9-72 — autorka „Niedobrej miłości”.
- 110-49-24-104-37-83-118 — fr. autor sztuki „Diabeł i Pan Bóg” (nazw., litera im.).
- 151-85-149-165-79 — autor ciekawostek „Pegaz dęba”.
- 155-68-91-60-55-95-54 — autor „Orlandu Szalonego”.
- 92-176-160-116-162-127 — poeta, dramaturg, malarz pol., autor „Kleopatry”.
- 146-176-141-109-150 — teren wojny w „Illiadzie” Homera.
- 57-163-163-139-156 — najwyb. poeta irlandzki, autor „Księżniczki Kasli”.
- 173-161-141-166 — imię autora pow. „Upadek Paryża”.
- 25-15-16-32-14-23-22-131-58 — bohater o jednoczenie Wioch, przeciwnik państwa, orędownik niepodległości Polski (1807—82).
- 153-5-67-77-113-152 — dramaturg i poeta fr., autor „Ubogich lwic”.
- 138-115-175 — miłosna broń Amora.
- 172-40-133-143-169 — Centrala Upowszechniania Prasy i Książki.
- 128-32-2-45-48-103-53-73-10-38 — twórca mazdeizmu, postać tyt. u Nietzschego.
- 105-107-123-178 — amer. młodzieżowa org. kult.-oświatowa.
- 27-46-78-101-90-94-17-51-98-76-4-69 — autor „Spiewów historycznych” (nazw. litery imion).
- 132-87-159-75-121 — „Dobry wojak” u Haska (bez „z”).
- 102-130-39-84-148 — Poeta mazurecki, „ukochany przez lud, wieszcz z Bożej kaski”, zbiór wierszy „Zebrałem snop plonu”.
- 129-64-112-134-61 — inaczej niż pod lit. „H”.
- 140-12-142-124-144-145 — Tomasz dia Klauza (pokrewieństwo).
- 8-108-126-100-19-59-97 — kompozytor opery „Zygmunt August”.
- 135-35-147-13-33-88-71 — postać tytułowa u Beaumarchais’go.
- 157-62-120-99-114 — autor „Sporu o sierżanta Griszę”.
- 177-171-137-154 — słynął z nich Charlamp sienkiewiczowski (wspak).
- 136-122-50-93-123-31-80-44 — obrońca Dreyfusa, napisał „Oskarżam” (nazwisko imię).
- 111-119-158-164 — aureola.
- 3-6-20-74-82-89 — słynny fizyk i matemat. franc. (1775—1836).

W nadsyłanych rozwiązaniach należy podać — autora, tytuł utworu oraz tekst fragmentu.

Opracował Bohdan Bienkowski

Prosimy nadsyłać rozwiązania wraz z kuponem do dnia 25 sierpnia pod adresem: Lublin, Redakcja „Kamenu”, ul. Graniczna 1-c.

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe odpowiedzi, zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązanie podamy w n-rze 16 „Kamenu” (z dn. 31 sierpnia).

Redakcja

Poeta przypomnienia godny

(Dokończenie ze str. 7)

spiracyjnej. Ojczyzna — ukochanie wielkie i jedyne — zajmuje w jego utworach miejsce naczelnie. Zaabsorbowany przedmiotem swych uczuć, oddany całkowicie Sprawie Narodowej, nie przywiązywał poeta specjalnej wagi do artystycznej formy swych wierszy.

Poezje jego, prawie już zapomniane, znaleźć można jedynie w antologiach. Ich patos, egzaltacja, niekiedy retoryka obecnie dziwią, może nawet drażnią. Wiersze te funkcję swoją już spełniły, mobilizowały romantyczną młodzież, napędzały ją otuchą i optymizmem, rozpały w niej entuzjazm i chęć działania.

Dla nas są wiernym dokumentem minionej epoki, odzwierciedleniem poglądów i przekonań poety, wielkiego działacza i patrioty, świadectwem jego trudnego i bogatego życia. I za to je cenimy.

BIBLIOGRAFIA

Ważniejsze utwory Karola Balińskiego:
Pisma, Poznań 1849; „Grosz wdowi”, Poznań 1851; „Myśli serdeczne”, Jersey 1854; „Spiewakowi Mohorta bratnie slowo”, 1855; „Wybór dzieł Kalderona”, T. I. „Kochankowie nieba”, Poznań 1853; „Męczeństwo Zbawiciela”, Lwów 1864.

Ważniejsze opracowania:
Boberska Felicja — Karol Baliński, Kraków 1882, Janik Michał — Polski Słownik Biograficzny, Kraków 1935, t. 1/3 s. 238—240; Korbut Gabriel — Sto lat myśli polskiej, W-wa ok. 1914, t. IX, s. 173—183; Korpata Józef — Karol Baliński — poeta i rewolucjonista, „Twórczość” 1948, zesz. 5, s. 56—81; Mirwiński J. — Portrety literackie, t. I, Poznań 1865; Wilkońska Paulina — Moje wspomnienia o życiu towarzyskim w Warszawie, W-wa 1959; Zmichowska Narceza — Listy, T. II, Wrocław 1960, s. 622.

Ważniejsze wzmianki:
Ilustrowana Encyklopedia Trzaski, Everta i Michalskiego, W-wa br. T. I, s. 266; Orgelbranda — Encyklopedia Powszechna, W-wa 1890, T. II, s. 72; Wielka Ilustrowana Encyklopedia Powszechna, Kraków br. T. II, s. 100; Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana, W-wa 1891, T. V, s. 791 — 792.

Jolanta Kowalczykówna

odpowiedzi redakcji

P. P. Ed. P. w Toruniu. Grzecznościowy eufemizm.
Ir. Now. w Chełmie. Niestety — to wierszyk do albumu koleżanki.
Andrz. Br. w Krasnymstawie. Z dwóch wierszy stosunkowo lepszy „Moja matka”, ale oba jeszcze nie do druku.
Zb. Cer. w Krakowie. Fraszek nie drukujemy.
Kar. D. Jak wyżej.
S. A. Luk. w Lublinie. „Van Gogh” ma pewne miejsca poetyckie, ale zbyt rozgadany.
Wl. L. w Baranowie. „Okrychy wieczorne” lepsze, ale jeszcze surowe.
Mar. R. w Łodzi. Nie skorzystamy.

KSIĄŻKI NADESLANE

przez Wydawnictwo Łódzkie
Waldemar Babiniec — Apostołowie, 1961.
Albin Skierski — Urodzajne piachy, 1961.
Waldemar Babiniec — Złota woda, 1961.
Włodzimierz Stobodnik — Kamienny cień, zbiór nowych wierszy, 1961.
Sabina Sebyłowa — Okładka z Pegazem, PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Jerzy Zawieyski — Powrót Przelęckiego (sztuka w 3 aktach), PIW, Warszawa 1960, wyd. I.
Wiktor Niekrasow — Druga noc, przekład zbiorowy, 1961.
Roman Zimand — Trzy studia o Boyu, 1961.

Wydział Kultury Prezydium MRN w Białymstoku ogłasza

KONKURS

na wiersz i prozę związane z miastem Białymstokiem.

Celem konkursu jest spopularyzowanie miasta Białegostoku, ukazanie jego kulturalnej i gospodarczej rozbudowy, historii oraz życia i pracy jego mieszkańców.

Celem konkursu jest również ożywienie życia kulturalnego miasta i wyłonienie miejscowych talentów literackich.

Konkurs jest otwarty dla wszystkich — mogą brać w nim udział zarówno członkowie Związku Literatów Polskich, jak też i niezrzeszeni.

Do udziału w konkursie zapraszani są wszyscy związani z Białymstokiem i Białostocką przez zainteresowania, miejsce urodzenia, pracy lub zamieszkania.

Objętość utworu (proza) nie powinna przekroczyć 12 stron maszynopisu (po 20 wierszy).

Jeden autor może nadsłać na konkurs kilka prac nigdzie dotąd nie publikowanych.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa w dniu 30 września 1961 r. — obowiązuje data stempla pocztowego.

Prace należy nadsyłać pod adresem: Wydział Kultury Prezydium MRN Białystok, ul. Lenina 9. Na kopercie zaznaczyć „KONKURS LITERACKI”.

Prace winny być oznaczone godłem. W przesyłce winna się znajdować zapieczętowana koperta opatrzona z zewnątrz tym samym godłem co praca — zawierająca imię i nazwisko oraz aktualny adres autora.

Przewidziane są następujące nagrody.

W dziedzinie poezji:
I nagroda — 2.000 zł
II nagroda — 1.500 zł
III nagroda — 1.000 zł

W dziedzinie prozy:
I nagroda — 5.000 zł
II nagroda — 3.000 zł
III nagroda — 2.000 zł

Ponadto przewidziane są wyróżnienia pieniężne.

Jury ma prawo nieprzyznania którejś z nagród.

Organizator konkursu nie zwraca nadsyłanych na konkurs prac.

Wyniki konkursu zostaną podane za pośrednictwem prasy i radia.

Wszelkich informacji związanych z konkursem udziela Wydział Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Białymstoku, ul. Lenina 9, pokój 42.

1	A	2	N	3	Ch	4	P	5	L	6	Ch	7	B	8	U	9	C	10	N	11	A	12	T
13	V	14	K	15	K	16	K	17	P	18	A	19	U	20	Ch	21	A	22	K	23	K	24	D
25	K	26	C	27	P	28	A	29	A	30	A	31	Y	32	N	33	V	34	C	35	V		
36	C	37	D	38	N	39	R	40	M	41	B	42	A	43	A	44	Y	45	N	46	P		
47	A	48	N	49	D	50	Y	51	P	52	K	53	N	54	F	55	F	56	C	57	I		
58	K	59	U	60	F	61	S	62	W	63	C	64	S	65	B	66	B	67	L	68	F	69	P
70	B	71	V	72	C	73	N	74	Ch	75	Q	76	P	77	L	78	P	79	L	80	Y		
82	Ch	83	D	84	R	85	E	86	A	87	Q	88	V	89	Ch	90	P	91	F				
92	G	93	Y	94	P	95	F	96	A	97	U	98	P	99	W	100	U	101	P				
102	R	103	N	104	D	105	O	106	C	107	C	108	U	109	H	110	D						
111	Z	112	S	113	L	114	W	115	E	116	G	117	B	118	D	119	Z	120	W	121	Q	122	Y
123	O	124	T	125	Y	126	U	127	G	128	N	129	S	130	R	131	K	132	Q				
133	M	134	S	135	V	136	Y	137	X	138	E	139	I	139	B	140	T	141	J	142	T	143	M
144	T	145	T	146	H	147	V	148	R	149	E	150	H	151	E	152	L	153	L	154	X	155	F
156	I	157	W	158	Z	159	Q	160	G	161	J	162	G	163	I	164	Z	165	E	166	J		
167	C	168	I	169	M	170	G	171	X	172	M	173	J	174	H	175	E	176	H	177	X	178	Q

KUPON

na udział w III Konkursie „Kamenu”
pod hasłem
„WIEDZA POMAGA W ŻYCIU”

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywana się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4. Zam. 3062. 29.VII.61. Nakład 1200. W-1.